Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 3 stycznia 1937 r. Nr. 1



Białe pola, śnieżne pola...

Białe pola, śnieżne pola
Otulone śniegiem śpią —
Raźno chadza mróz — niecnota,
Tu pobieli żerdź u płota,
Tu — choć szumi zła topola —
Głóg przystraja w szadź!

Białe pola, śnieżne pola
Otulone śniegiem śpią —
Śni się pewnie im ten złoty
Poszum kłosów, ptactw świergoty
Śni się strojna w liść topola —
— A tu mróz — śnieg — szadź...

Janina Kamińska.

13)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Zuzanna siedziała w kącie wagonu, w w którym była również jakaś rodzina z kilkorgiem bardzo krzykliwych dzieci. Maleństwa te powstrzymywały się od krzyku tylko w tych chwilach, kiedy zapychały sobie buzię niezliczonym mnóstwem najrozmaitszych owoców, pierników i innych łakoci.

Dopiero, gdy cały, a wcale spory zapas tych przyjemnych rzeczy, w które zaopatrzyła się na drogę troskliwa matka, skończył się ku wielkiemu niezadowoleniu drobnych dziatek, zaczęło młode pokolenie na nowo swe harce.

Z początku skarżyły się tylko na nudy i pytały co chwila, czy to jeszcze daleko.

Potem potajemnie z nudów zaczęły się pchać, trącać i szturkać, coraz swobodniej, coraz bardziej, coraz głośniej, aż wybuchła cała orkiestra dźwięków, towarzyszących zabawie nie wychowanych w karności bębnów.

Wreszcie Zuzanna tracąc cierpliwość, szepnęła mężowi do ucha:

— Najchętniej wyrzuciłabym ich wszystkich przez okno.

Było to życzenie, do którego Mayer przyłączył się całego serca.

Przypatrywał się małym krzykaczom złowrogiem wejrzeniem, gdyż przeszkadzali mu w snuciu rozmaitych planów.

Nie był on i tak zbyt silnym we wszystkiem, co wymagało myśli, a gdy mu jeszcze przeszkadzano, to już wcale ze sobą nie mógł dojść do ładu, a postanowił sobie był przecież w czasie podróży ułożyć, co powie baronowi Egonowi.

Teraz krzyk dzieci rozpędził mu wszystkie z trudem zebrane myśli. Zrezygnował z tej czynności, do której nie przywykł i postanowił się zdać na łaskę losu.

Ojciec tych przyjemnych dzieciaków czytał gazetę, dzieląc się z żoną wiadomościami.

— Powódź była — rzekł do niej teraz.

— Gdzie? — spytała żona ciekawie.

Pasażer wymienił okolicę.

— Czy i zamek Felseg objęła powódź? — spytał Mayer niespokojnie.

— O tem nic nie ma w gazecie — odparł towarzysz podróży.

— Dzięki Bogu — szepnął rudy uspokojony.

— A cóż ciebie obchodzi zamek Felseg? — zapytała Zucia — nie byłaby wielka szkoda tych starych murów.

— Ale ludzi, którzyby byli tam zginęli.

— Ludzi — zaśmiała się Zuzia. — Tam tylko mieszka Alojzy, a jego wcale nie byłoby szkoda.

Gdy tak rozmawiali, przyszło na myśl jednemu chłopcu, spiąć szpilkami suknie sióstr, które siedziały obok siebie.

Zrobił to niepostrzeżenie, a potem z niewinną miną wyjrzał przez okno.

— Ajajaj! — krzyknął nagle — tutaj jakiś czerwony bocian z białym dziobem.



Podczas pobytu holenderskiej następczyni tronu Juliany w Berlinie maleńka dziewczynka wręczyła jej przed hotelem kwiaty.

— Nieprawda — odparła starsza siostra.

Ale młodsza chcąc się sama przekonać, zerwała się, by pobiec do okna. Gdy uczuła, że ją coś zatrzymuje, szarpnęła suknią silnie, przy czym słychać było wyraźnie darcie się materii.

— Jezus, Maria — krzyknęła matka — nowiusieńka sukienka. A to skaranie Boże! Jakże się teraz babce pokażesz w takich podartych sukniach — lamentowała sentymentalnie.

Wnet jednak głos przybrał ton mniej elegiczny a bardziej gniewliwy.

— To z pewnością sprawka tego gałgana Antka! — zawołała.

— Ja — bronił się Antek obrażony. — Ja stoję o milę od nich.

Ale bystra matka wiedziała dobrze, co sądzić o swoim synku i odbyła z nim surowy sąd.

Zuzanna przypatrywała się temu wszystkiemu z zajęciem, ale wnet wróciły jej się myśli do sceny poprzedniej. Dziwiło i zastanawiało ją to, że Mayer z taką troską pytał o Felseg i o Alojzego, którego dawniej tak nienawidził. Nie wierzyła też, że i dla niej tylko jedzie do Königswalden i przypomniała sobie nagły, nie wytłumaczony wyjazd stamtąd. Postanowiła śledzić męża, żeby się przekonać, co w tym jest.

Gdy pociąg przybył na ostatnią stację, wsiedli do osobnego powozu, który miał ich zawieźć do domu. Zuzia cieszyła się tem bardzo, bo to było zawsze jej marzeniem, aby tak wjechać do Königswalden.

Mayer był mniej ucieszony. Im bardziej zbliżał się do rodzinnego miejsca, tym większy niepokój w duszy uczuwał.

Zuzannie zaś cała droga wydawała się niemożliwie długą.

Nareszcie wjechali do wsi. Poznała ich dziewczyna stojąca przy drodze i zawołała:

— Jezus, Maria, przecież to Mayerowie.

Okrzyk jej rozległ się po całej wsi i ze wszystkich stron poczęło się gromadzić, aby ich przywitać.

— A witajcie! Jakżesz wam powodziło się w Ameryce? — Jezus, Maria! Alеż Zuzia wygląda jak jaka hrabina.

Zuzia z triumfem patrzyła na męża.

— A co? — mówiła dumnie — ażebyście jeszcze widzieli, jakie ładne suknie sobie sprawiłam.

— Czy to prawda, że w Ameryce nie trzeba pracować? — spytał jeden młody parobek.

— Dlaczego tak prędko powróciliście? — pytała inna jakaś dziewczyna — za gorąco wam tam było?

— Alеż nie byliśmy wcale w Ameryce — odpowiedziała Zuzia. — Tak nam się podobało we Wiedniu, żeśmy tam zostali.

Mayer wysiadł z powozu i spytał trwożnie, czy baron jeszcze jest w zamku.

Odpowiedziano mu, że wyjechał do swej narzeczonej, hrabianki Dornbruch.

— A kiedy on zwykle wraca? — spytał.

— A kiedy mu się podoba.

— E, co tam — zawołał jakiś wesoły kompan — chodźmy do karczmy, Mayer zapłaci.

Mayer zachmurzył się. Wiedział o tem dobrze, ile piwa mogą wyżłopać jego kochani przyjaciele, a stan jego kasy był taki smutny, że on musiał uniknąć wszelkich niepotrzebnych wydatków.

Zuzia szarpnęła go za rękę, a jakiś młody człowiek zawołał:

— O, jaki Mayer skąpy. To zawsze tak, jak się ktoś wzbogaci.

— Nie pójdzie Mayer do nieba, tak jak wielbłąd przez ucho igły nie przejdzie.

Głośny śmiech wtórował tym słowom.

— Nie rób mi wstydu — szeptała Zuzanna, wściekła na męża.

Pod tym naciskiem Mayer ustąpił i rzekł:

— Chodźcie, o kilka guldenów mi nie chodzi.

— A tak, to ładnie — pochwalili chłopi — jużeśmy myśleli, żeś się nas wyrzekł.

Cały tłum ruszył do karczmy. Rozpoczęła się pijatyka. Nastrój był bardzo wesoły aż do chwili, w której Mayer, któremu dotychczas wszyscy chlebiali, sprzeciwił się jednemu z pijanych.

Ten mocno już podchmielony zerwał się z miejsca, uderzył pięścią w stół tak silnie, że wszystko co na niem było, podskoczyło w górę.

Ten rudy Mayer — krzyknął — myśli, że za tych kilka dzbanów piwa może już nami komenderować. Co to, to nie, mój panie.

Od słowa do słowa i przyszło do bitki. Kobiety uciekły z piskiem. Zuzia na czele, bo obawiała się, że w ogólnem zamieszaniu toaleta jej może ucierpieć. Razem z innemi babami przypatrywała się bójce przez okno.

Gdy jednak wewnątrz parobek jakiś zgasił lampę i walka trwała po ciemku, poszła do zamku, aby odwiedzić przyjaciółkę.

Po drodze zobaczyła z daleka elegancką postać barona Sturmfedera. Mogła bardzo łatwo skręcić, tak żeby jej był nie zauważył. Ale ona przeciwnie przyspieszyła kroku, by mu wpaść w oczy, bo nie miała wcale danych do udawania skromnego fiołka. Chciała ona być widzianą i podziwianą. Dlatego przyspieszyła kroku i wkrótce zeszła się oko w oko z baronem.

— A uniżona służka pana barona — przemówiła do młodego szlachcica z właściwą sobie zuchwałością. — Widocznie źle nas poinformowano, mówiąc nam, że pan baron znajduje się na zamku Dornbruch.

Zdziwiony Egon spojrzał na piękną kobietę. Jej rysy wydawały mu się znajome, a przecież nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, gdzie i kiedy ją widział.

— Z kim mam przyjemność — zapytał uprzejmie.

— O, proszę bardzo, zaszczyt jest zupełnie po mojej stronie, odpowiedziała Zuzia z zalotnym uśmiechem. Czy mnie jaśnie pan już nie poznaje? Jestem przecież Zuzią Mayer.

Ale Sturmfeder tak samo teraz nic nie wiedział jak przedtem.

Nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć znajomości z osobą noszącą takie imię, nie chciał jednak tego okazać.

Jako wypraktykowany hulak, jednym rzutem oka potrafił ocenić stojącą przed sobą piękną kobietę.

Nie był on z tych, co to gardzą nadarzającą się im awanturką. Przeciwnie, postanowił jak najwydatniej sposobność tę wykorzystać i szukać w niej zapomnienia przykrych myśli, zatruwających mu obecną chwilę.

Musiał on bowiem znacznie skrócić wizytę swą na zamku Dornbruch z powodu słabości teściowej swej in spe, która zapadła na niebezpieczne zapalenie płuc.

Nie wiedział co począć z rozpoczynającym się wieczorem, w sam czas więc nawinęło mu się spotkanie z uroczą kobietą. Począł więc z nią gawędzić wesoło, piąte przez dziesiąte, a Zuzia odpowiadała mu cięto na każde pytanie.

Tak rozmawiając i żartując zbliżyli się do jednej z wielu zacisznych altanek, kuszących formalnie do wejścia.

— Czy nie usiedlibyśmy tu na chwilę — zapytał Egon swej towarzyszki.

Zuzia skorzystała z tego zaproszenia bez najmniejszego skrupułu i usiadła w zupełnie ciemnej altanie. Egon usiadł sobie przy niej i ująwszy jej rękę w swoje dłonie z uściskiem, szepnął:

— Pani dobrodziejko, gdybym sobie tylko mógł przypomnieć, gdziem widział uroczą twarzyczkę!

— Oho — odrzekła śmiejąc się Zuzia — posuwasz pan żarty za daleko. Pan mnie chcesz nazywać panią dobrodziejką. Panie baronie! Toż to świat się kończy.

We Wiedniu to całkiem co innego; tam to pozwalałam na to, ale tutaj nie! Co by ludzie powiedzieli? wyśmialiby się ze mnie na dobre.

Niech by się tylko odważyli — krzyknął Egon gwałtownie. — Niechby sobie tylko kto pozwolił wyśmiać panią, źle by wyszedł na tem.

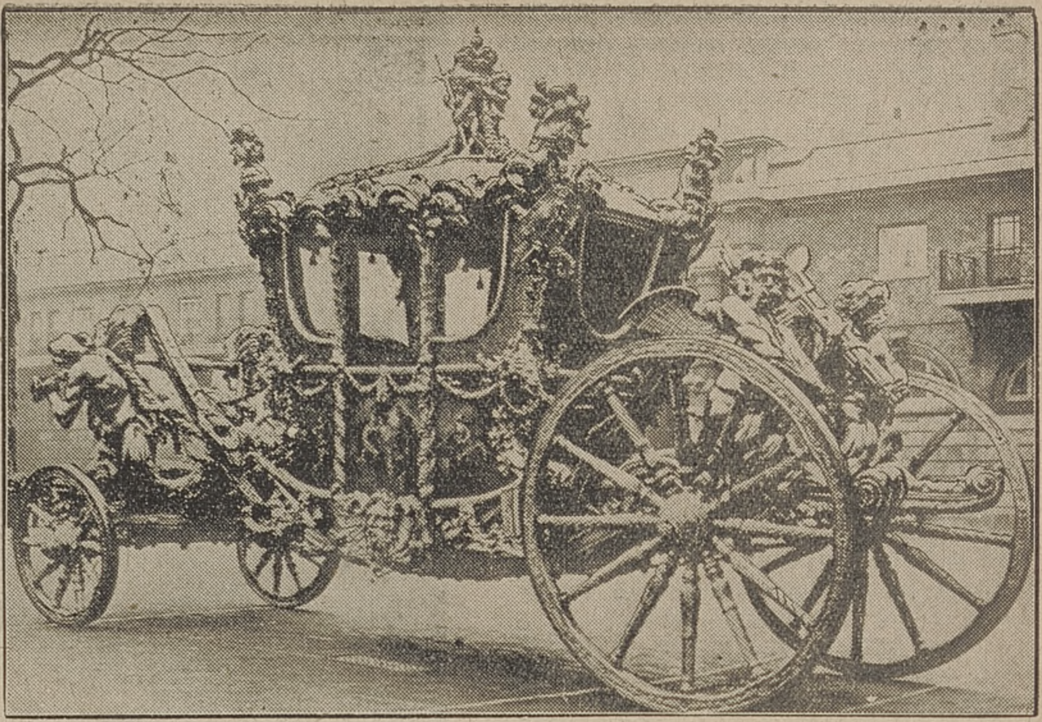
— Jaki dobry pan baron dla mnie, jaki łaskawy — odparła przymilając się Zuzia.

— Któżby mógł być złym dla pani — spytał Egon namiętnie. Piękność i urok pani zyskały całe me serce! Za jeden pocałunek oddałbym życie bez wahania.

Zuzia nie czuła się jeszcze nigdy tak nieszczęśliwą, jak w chwili obecnej. W pustej jej głowie zapanował zupełny zamęt.

— Boże mój, gdybym przynajmniej wiedziała, że panu baronowi doprawdy tyle na jednym moim całusie zależy — zaczęła Zuzia zmieszana.

Ale Egon nie pozwolił nawet skończyć zdania lekkomyślnej kobiecie, lecz zamknął jej usta swojemi. Poczuła gorące jego całusy, drżąca i wzruszona przymknęła oczy.



W maju 1937 r. odbędą się w Anglii uroczystości koronacyjne Jerzego VI. Na zdjęciu wspaniała kareta, pochodząca z roku 1761, która użyta będzie w dniu koronacji.

ROZDZIAŁ XLV.

Arnold szuka zatartych śladów

Markiz de Lorme pochowany został z możliwie największą pompą i przepychem, a syn jego czuł się niety lko spadkobiercą jego majątku, lecz także spadkobiercą jego winy.

Całemi nocami przewracał się bezsennie po swojem łożu, szukając w myśli wyjścia z tego labiryntu. Lecz napróżno. Nie mógł takowego wynaleźć.

Wreszcie po długiem suszeniu głowy wpadło mu na myśl, że jakaś stara krewna jego, panna Ewelina du Pont znała dokładnie wszystkie tajemnice familijne i że była najlepszem źródłem informacyjnem, z którego mógł korzystać.

Mimo więc, że zwykle jak najstaranniej zchodził z drogi niemiłej starej pannie, udał się teraz do jej pomieszkania przy ulicy Saint Honoré.

Gdy Arnold siedząc u łoża śmiertelnego ojca swego, słuchał ze wzruszeniem spowiedzi tegoż, zdawało mu się łatwą rzeczą odnaleźć hrabinę Wildenstein. Jak trudnem to było zadaniem poznał dopiero, gdy zacząwszy ją szukać, spotkał się na każdym kroku z przeszkodami, które mu się wydawały nie do przezwyciężenia. Ośmnaście lat ubiegło od czasu, w którym owa nieszczęśliwa, obałamucona niewiasta opuściła dom swego męża.

Arnold de Lorme nie znał nazwy owego małego miejsca kąpielowego, w którem osiedliło się młode małżeństwo; nie znał również nazwy klasztoru, w którym Desirée odebrała swoje wychowanie.

Nadzwyczaj zgrabnie ubrana stara służąca otworzyła mu drzwi i mimo, że znała markiza jeszcze małym chłopcem, zapytała go pokasłując:

— Kogo mam zameldować?

Chciała tem zaznaczyć, że Arnold tak rzadko odwiedzał swoich krewnych, iż go służba już nie poznawała; tak obcym stał się dla niej.

— Czy mnie nie poznajesz Lizetto? — zapytał Arnold. — Przypuszczałem, że masz lepszą pamięć.

— Więc to doprawdy pan markiz Lorme? Ach! co za zaszczyt! — krzyknęła Lizeta z dobrze udanym zdziwieniem — jakżesz się jaśnie wielmożna panienka cieszyć będzie. Proszę pokornie pana markiza, by raczył wejść.

Mówiąc to, Lizetta otworzyła drzwi do salonu, z którego uderzył na Arnolda oszałamiający zapach heliotropu. Nienagannie czysto utrzymywane meble były gustownie ustawione, a różnorodne dzieła sztuki o wysokiej wartości dawały dowód, że właścicielka tego salonu miała dobry i wytworny gust, a zarazem środki do zaspokojenia swoich estetycznych zachcianek.

Roztargnionym wzrokiem wodził Arnold po pojedyńczych sprzętach, gdy się drzwi otwarły, a przez nie weszła panna Ewelina du Pont, zbliżając się ku niemu cichym krokiem.

Była ona niska i szczupła i znać jeszcze było na niej ślady wdzięków młodości, chociaż je starość w znacznej

części zatarła. Jej cera zwiędła i zżółkła o dużych porach, zepsuta była do reszty zbyt częstem używaniem pudru. Spojrzenie przenikliwych jej oczu było ostre i zimne a około drobnych ust niemiły, złośliwy błąkał się wyraz. Gdy panna Ewelina nie mówiła, to tak mocno zaciskała blade a wąskie swe usta, że tworzyły one tylko wąziuteńką bladoróżową linijkę w jej twarzy.

Ewelina ubrana była bardzo troskliwie. Miała na sobie czarną suknię, elegancki czepeczek koronkowy, bo była zanadto mądra, aby się ośmieszać młodocianym strojem.

Gdy weszła, Arnold przywitał ją ucałowaniem pięknej rączki.

— Jak się łaskawa cioteczka miewa, jeżeli wolno spytać, rzekł pokrywając swe zaambarasowanie.

Stara panna uśmiechnęła się z subtelną ironią i machnęła ręką.

— Nie mówmy już o tem — rzekła — o czem nikt nie myśli. Tyś przebył ciężką próbę, wyrażam ci moje najszczersze współczucie.

Ewelina słowa te poparła skinięciem ręki.

Markiz wiedział wprawdzie, że to współczucie było udane, ale udawał także, że się na tem nie rozumie i że jest jej bardzo wdzięczny za nie.

Tymczasem ona namyślała się, z czem on do niej przyszedł, bo wiedziała, że ta wizyta nie była bez celu.

Ale nie zdradzała się żadnem głośnem pytaniem, przeciwnie, ze złośliwą przyjemnością wplątywała go w obojętną rozmowę i obserwowała, jak on pokrywa zniecierpliwienie. A gdy próbował sprowadzić rozmowę na to, o co mu chodziło, umiała zawsze zręcznem pytaniem znowu zwrócić rozmowę na inny temat.

Arnold siedział tak w nienagannej postawie przez godzinę i przeczuwał, że ona go w ten sposób lekceważy. Niepokój wewnętrzny pożerał go i nareszcie postanowił wyjechać z tem, z czem przyszedł.

— Daruj, łaskawa ciotko — rzekł — odejdę tak od tematu rozmowy i zapytam cię o coś.

Panna du Pont wiedziała o tem, że on nie zechce od niej pieniędzy i była zupełnie spokojna.

— Czy znała ciotka niejaką Desireé Saint Cir? — spytał markiz.

— Tak, jest, nie bardzo zaszczytna znajomość — brzmiała odpowiedź.

— Nie może mi ciotka powiedzieć co się też z nią stało?

— Owszem — uciekła chytrym sposobem z klasztoru Serca Jezusowego — odpowiedziała panna Ewelina — i z jakimś awanturnikiem włóczyła się, póki jej nie napędził.

— Mylisz się — odparł Arnold — ona była prawowitą małżonką hrabiego Ernesta Wildensteina i nie wypędzono ją, tylko ona sama dobrowolnie poszła z domu i to tylko dlatego, że jej powiedziano coś, co było nieprawdą.

— Skoro tak dobrze wiesz, więc dlaczego się mnie pytasz? — rzekła Ewelina.

— Myślałem, że może cioteczka mi powie, jak się nazywa to miejsce kąpielowe, w którem hrabia bawił ze swoją młodą żoną.

— Belleville, zdaje się. — Nie, Merlincowat.

— A nie pamiętasz, w którym domu mieszkali i nie możesz mi powiedzieć, co się stało z hrabiną Wildenstein?

— Boję ci się wprost mówić, bo mi wprost kłamstwo zarzucasz.

— Jeżeli sobie pozwoliłem wyjaśnić tobie niektóre rzeczy, łaskawa ciotko, sądziłem, że ci się przysłużę, uniewinniając w twoich oczach osobę zmarłą.

— Któż ci powiedział, że ona umarła? — spytała stara panna ostro, jakby z przyciskiem.

— Skoro ośmnaście lat minęło od jej zniknięcia — mówił Arnold smutnie — i nie ma znaku życia o niej, to już jest dowodem, że nie żyje.

— No, ona ma przyczynę, ukrywać siebie i swoją hańbę — odparła złośliwie stara panna.

— W którem mieście znajduje się klasztor sióstr Serca Jezusowego? — zapytał młody markiz, udając, że nie słyszy jej cierpkich słów.

— W Bayette — odpowiedziała opryskliwie panna du Pont.

Arnold podniósł się ze swego krzesła, pocałował delikatne paluszki swej krewnej, podziękował jej uprzejmie za przysługę i odszedł z postanowieniem, aby dziś jeszcze wyjechać do Bayette.

Około wieczora siedział już w pociągu pospiesznym, zdążającym w kierunku swego miasta. Przybył on tam około północy. Kazał się zawieźć do hotelu i spędził resztę nocy prawie bezsennie, tak wielką była irytacja, która go opanowała. Już wczesnym rankiem stanął Arnold u wrót klasztornych i żądał wstępu.

Siotra furtyanka powiedziała mu, że teraz z nikim widzieć się nie może.

— Za pozwoleniem, czcigodna siostro — odparł Arnold w tonie usilnej prośby — ale ja pragnąłbym mówić tylko z przewielebną przeoryszą w bardzo ważnej sprawie.

— Przeorysza jest teraz na mszy porannej — odpowiedziała siostra, spuszczając znów okienko, które podniosła była, aby poinformować obcego przybysza. W chwili następnej znikła jej spokojna, a bardzo blada twarz.

Arnold usiadł na kamiennej ławeczce, umieszczonej w przedsionku klasztoru.

Była to ta sama ławka, na której przed 18 laty z bijącem sercem czekała Desirée, aby jej się furta klasztorna gościnnie otwarła. Gdyby stary, zwietrzały granit umiał był mówić, co za przeróżne historie o cierpieniu i bólu serca mógłby opowiadać markizowi. Dochodziły go przyciszone dźwięki organów i śpiewu chóralnego, a on wsłuchiwał się w te ciche, uroczyste pienia, które uspakajały znużone jego serce i wznosiły weń zgodę i rezygnację.

Po upływie pewnego czasu dał się słyszeć odgłos licznych kroków.

— Wracają z kaplicy — pomyślał Arnold, podniósł się z ławki i zadzwonił drugi raz.

Znów ukazała się blada twarz siostry furtyanny. Arnold powtórzył swoje żądanie. Zakonnica wstrząsła głową.

— Musi pan jeszcze dwie godziny czekać — rzekła przewlekle znużonym głosem — przełożona przyjmuje dopiero o jedenastej godzinie.

Okienko znów zapadło, a Arnold ku wielkiemu swemu niezadowoleniu uznał, że teraz go nie wpuszczą. Smutny usiadł na ławkę.

Deszcz zaczął padać. Lał się z nieba strumień tworząc kałużę i zasłaniając morzem kropel całą okolicę. Drzewa i krzewy uginały mokre gałęzie, ptaki umykały do gniazd a ludzie uciekali pod dachy.

Arnold dziesięć razy na godzinę patrzał na złoty zegarek i niecierpliwił się do niemożliwości.

Nareszcie, nareszcie zbliżała się jedenasta godzina.



Grupa hiszpańskich dziewcząt zajęta robotą na drutach i szyciem odzieży dla żołnierzy walczących na froncie.



Małe dziewczynki posiadają nieraz dużo życiowej inicjatywy — oto jedna z nich, zarabiająca na utrzymanie rodziny przez szycie pluszowych niedźwiadków do składów zabawek.

Usłyszał przeraźliwy dzwonek, potem zmieszane głosy jakieś i wrzawę.

Była to przerwa dla uczenic klasztornych. Języczki panienek trzymane na uwięzi, wynagradzały sobie teraz przymusowe milczenie.

Arnold uśmiechnął się mimowoli. Zbliżył się do furty.

Tam zapytano go o nazwisko.

— Markiz Arnold de Lorme — odpowiedział.

— Oznajmię przybycie pana — rzekła zakonnica i oddaliła się.

Za chwilę uchyliły się duże, ciężkie drzwi i jakaś zawelonowana zakonnica pozdrowiła go:

— Niech Bóg błogosławi twoje przybycie.

Arnold wszedł do wnętrza. Słyszał głosy i kroki uczenic klasztornych, które bawiły się po korytarzu i mimowoli pomyślał sobie, że i Desirée kiedyś musiała tak tutaj się bawić.

Myśląc o niej i o jej losie szedł za furtyanną, która poprowadziła go aż do jakichś białych drzwi.

Wszedłszy, znalazł się w jakimś skromnym pokoiku, którego jedyną ozdobą był krucyfiks ze słoniowej kości.

Na niewygodnym krześle drewnianym siedziała niewiasta o poważnych, surowych rysach. Twarz, mimo podeszłego wieku bardzo piękna, zdobiły oczy pełne wyrazu i ognia.

Na ciężkim żelaznym łańcuchu wisiał ciężki, złoty krzyż, a na palcu prawej ręki miała szeroką, złotą obrączkę na znak jej zaręczyn z niebieskim bytem. Niewiasta ta, była zacną przeoryszą klasztoru.

Za krzesłem jej stała w pokornej postawie blada jakaś zakonnica.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł Arnold.

— Na wieki wieków. Amen — odpowiedziały.

— Co pana do mnie sprowadza — spytała przeorysza dźwięcznym głosem.

— Przewielebna matko — odpowiedział markiz — przed ośmnastu laty w murach tych gościła krewna moja, Desirée Saint-Cir.

Na dźwięk tego nazwiska, pogodne oblicze przełożonej zachmurzyło się.

— Tego nazwiska nie wolno u nas wymieniać — rzekła. — Wypełniłyśmy chrześcijański obowiązek wobec niej i pomodliłyśmy się za jej duszę.

— Tę nieszczęśliwą kobietę oczerniono wobec pani.

— Kobietę? — spytała przełożona. — Czy uwiedziona wzięła ślub z tym awanturnikiem?

— Tak jest, przysięgam na to — zapewniał markiz. — Ojciec mój był świadkiem ślubu. Bardzo wymownie zaczął Arnold przedstawiać przełożonej intrygi, które popełnił ojciec, aby pozyskać Desirée.

Przełożona słuchała wzruszona jego przekonywującymi słowami.

— Biedna Desirée — rzekła wreszcie. — Kochałam ją zawsze i tembardziej bolała mnie domniemana jej zdrada. Gdybym nie pozwoliła się tak przeciwko niej źle usposobić, nie byłabym ją tak potępiła, nie wysłuchawszy wpierw.

Widać było żal w jej twarzy.

— Co pan ma zamiar zrobić — spytała Arnolda.

— Chcę ją odszukać i wynagrodzić jej tę krzywdę, która jej się stała, o ile to się da zrobić. Do tego jednak trzeba mi waszej pomocy, pani.

Tu ona wzrosła, więc tutaj może będę mógł się dowiedzieć, co się z nią stało. Może ona zwracała się o pomoc do kogoś z waszych znajomych.

— Czy to możliwe, siostro Agato — spytała się przełożona zakonnicy.

— Nie, przezacna przełożono. Desirée była taka zawstydzona i onieśmielona, że nie byłaby się zwróciła do nikogo z nas ani do swoich zamożnych przyjaciółek. Raczej uważam za możliwe, że wyszukała swoją mamkę, z którą zawsze korespondowała.

— Czy pani nie wie, gdzie mieszka jej mamka? — spytał Arnold, drżąc ze wzruszenia.

— W Bartout pod Paryżem — odpowiedziała siostra Agata — nazywa się Nicoline Pierre.

Arnold podziękował za tę wiadomość i odszedł zasmucony.

Sześć godzin czekał przed furtą klasztorną i niczego prawie się nie dowiedział.

Zbliżając się do bramy klasztornej usłyszał za sobą szelest sukien niewieścich. Odwróciwszy się, zobaczył siostrę Agatę.

— Jeśli pan znajdzie Desirèe — rzekła mu — a niech Bóg panu pomoże w szukaniu, niech pan jej powie, że siostra Agata nigdy nie zapomniała o swojej najukochańszej, najlepszej uczennicy i co wieczora za nią się modliła.

To rzekłszy, odeszła.

— Siostro Agato — zawołał za nią jakiś głosik dziecinny i ona poszła w tym kierunku, skąd ją wołano.

Arnold wrócił do swego hotelu wcale nie pocieszony i następnym pociągiem pojechał do Paryża.

Wieś Bartout leży o trzy godziny drogi od Paryża i nie trudno było Arnoldowi dostać się tam.

— Gdzie mieszka Nicolina Pierre — spytał jakąś owocarkę.

— Nicolina Pierre? — spytała zdziwiona. — Kobiety tego nazwiska nie znamy tutaj.

— Ej, niech sobie pani przypomni — prosił wsuwając jej pięć franków. Nicolina Pierre była mamką jednej mojej krewnej i wiem na pewno, że ona tutaj zamieszkała.

Franki w dziwny sposób przyszły w pomoc pamięci owocarki. Nicolina Pierre, Nicolina Pierre! — powtórzyła. Mieszkała tutaj, ale umarła przed dziesięciu laty.

Była to dla Arnolda bardzo smutna wiadomość. Stracił bowiem w ten sposób ostatnią nadzieję.

Spytał jeszcze, czy ona nie pozostawiła kogo.

— Matkę i córkę — odpowiedziała owocarka nader uprzejmie.

— A gdzie one mieszkają? — spytał.

— Jeżeli wielmożny pan zechce poczekać pięć minut, to przyjdzie mój chłopiec i przyniesie mi kolację, a potem poprowadzi pana do matki Artot — zawołała kobiecina żywo. — Miała ona niepłonną nadzieję, że hojny przybysz wynagrodzi dobrze usługi jej potomka.

O, właśnie idzie — zawołała, pokazując na małego, grubego chłopca, który z koszyczkiem zbliżał się do owocarni.

— Nie rozlewaj zupy, Henryku — wołała do niego zdaleka.

Ale chłopiec wesoło wywijał koszykiem z którego co chwila wylewał się strumień tłustej zupy.

Matka podbiegła do niego i wyrwała mu z gniewem koszyk. Podziękowała mu za przyniesioną kolację kilkoma szturchańcami i kazała zaprowadzić obcego do matki Artot.

— Ten pan sam trafi — odpowiedział chłopiec. — To tu niedaleko, ten dom przed którym stoją dwa kasztany.

— A ja ci powiadam, że masz pana odprowadzić, wołała wściekła owocarka.

— Dziękuję, nie będę trudził chłopca — odpowiedział Arnold i poszedł we wskazanym kierunku.

Przez całą drogę słyszał krzyki matki i pisk syna, wreszcie przyszedł przed domek, przed którym rosły dwa duże, stare kasztany.

Wszedłszy, znalazł się w ubogiej, ale schludnej izdebce.

Na kominku palił się ogień z suchych gałęzi, ale bardzo mały. Nad płomieniem na trójnogu stał garnek, w którym gotowały się kartofle.

Przy ogniu siedziała siwowłosa staruszka i grzała się, mimo, że było lato.

Arnold bez wstępu powiedział po co przyszedł. Ona jednak odpowiedziała, że nie wie o co mu chodzi, bo nie słyszy i zawołała na wnuczkę.

Na jej głos weszła do pokoju trzydziestopięcioletnia kobieta. Wysłuchała wszystkiego co jej Arnold powiedział, potem popatrzyła na niego badawczo dużemi mądremi oczyma i rzekła wreszcie:

— Czy mogę zapytać, z jakiego powodu pan się tak o hrabinę Wildenstein dopytuje?

— Jestem bliskim krewnym — odpowiedział Arnold, któremu nieprzyjemnie było wspominać o ojcu przed obcymi — mam dobrą nowinę dla pani hrabiny i chciałbym ją o niej uwiadomić. Czy mógłbym się tu dowiedzieć o jej adres?

— Hrabina przybyła do nas wtedy, gdy cały świat ją opuścił — odpowiedziała Henryka uspokojona zapewnieniem Arnolda.

Przebywała ona przez pewien czas u nas, dopóki ważne okoliczności nie zmusiły ją, by się starała o pogodzenie z swym mężem.

Zaczęła się więc od niego dowiadywać i ku największemu swemu przerażeniu musiała z bezgranicznym żalem przyjąć do wiadomości, że hrabia zmarł nagle z powodu krwotoku.

Z przestrachu i żalu zachorowała ciężko.

Gdy wstała z łoża boleści i trochę tylko do sił na nowo przychodzić zaczęła, wybrała się mimo przestróg i próśb naszych do Niemiec.

Chciała bowiem odszukać krewnych swego męża i poruczyć im troskę i staranie się o nienarodzone jeszcze swe dziecko. Od tej pory nie miałyśmy żadnych wiadomości o niej. Nie mamy pojęcia, co się obecnie z nią dzieje.

Powiedziawszy to, zamilkła.

— Kiedy hrabina stąd wyjechała — zapytał znów markiz.

Z początkiem grudnia roku 1866. — odpowiedziała Henryka.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, w której okolicy osiedleni są hrabiowie Wildenstein? — kontynuował młody szlachcic dalej.

— Nie, tego sama hrabina nie wiedziała — odpowiedziała Henryka.

Arnold westchnął głęboko na myśl o smutnem położeniu nieszczęśliwej kobiety i zastanawiał się nad jej odwagą, aby przedsięwziąć tę ryzykowną podróż do kraju, którego języka nie znała i do tego w stanie, w jakim się znajdowała: biedna, chora, opuszczona. Jak ciężką odpowiedzialność zdał ojciec na jego sumienie!

— Czy nie mógłbym u was dostać portretu pani hrabiny — spytał znów Markiz.

Henryka wysunęła szufladę i wyjęła z niej rysunek kredkowy, owinięty nader starannie w bibułę. Przy blasku świecy, którą zaświeciła, zobaczył Arnold portret, który uderzał nadzwyczajnym urokiem i pięknością rysów.



Powyższa ilustracja przedstawia jeden z najpiękniejszych zakątków górskich w Alpach, w sezonie zimowym.

— Biedna Desirèe — mruknął pod nosem — twoja piękność stała się twoją zgubą!

Poczem zwrócił Henryce portret i podczas gdy ona go znów w papier zawijała, Arnold położył na gzyms sporo złotej monety, tak, że ona tego nawet nie spostrzegła. Potem podziękował za informacje i oddalił się, a głęboki smutek przepełniał mu serce.

Nie wątpił teraz ani na chwilę, że Desirèe nie żyje. Chciał jednak koniecznie upewnić się co do tego. Myślał też już o tem, że jeśli mu nie będzie danem złagodzić krzywdę, którą ojciec jego wyrządził nieszczęśliwej kobiecie i naprawić zło, które jej wyrządził wobec niej samej, to przynajmniej dziecku jej mógłby pomóc, poradzić mu i otoczyć troskliwą opieką.

Tymczasem ściemniło się zupełnie. Arnold spojrzał na niebo zasiane gwiazdami i szeptał:

— Wiecznie świecące gwiazdy! Światła umieszczone ręką Bożą na firmamencie czy rzucacie jasne swe promienie na grób tej nieszczęśliwej kobiety.

Ale gwiazdy nie odpowiadały, szerząc niemo i nieporuszenie światło wokoło.

Niech się dzieje co chce. Niech się serce ludzkie łamie z bólu i zmartwienia, one nie zbaczają z raz wytkniętej drogi, lecz krążą i krążą po niej, nie dając się zmylić!

— — — — —

Dnia następnego w pociągu błyskawicznym, jadącym z Paryża do Kolonii, siedział młody, przystojny mężczyzna.

Był to markiz de Lorme, spieszący do Niemiec, aby dotrzymać przysięgę daną umierającemu ojcu.

Ale niestety, słowa Ireny sprawdzały się.

Ktoby potrafił wskrzesić umarłych, albo uzdrowić złamane serce?

ROZDZIAŁ XLVI.

Pierwsze kroki w świat

Statek parowy rozpruwał niebieskie fale Dunaju. Promienie słoneczne odbijały się w lśniącej wodzie i ozłacały zielone wybrzeża jakoteż tłum ludzi znajdujących się na parowcu.

Z pośród wielu pasażerów, jedna młoda para małżeńska zwracała ogólną na siebie uwagę. Kobietka ta pierwszej młodości, ubrana według najnowszej mody i nienagannego gustu, wyglądała jeszcze jak dziecko i wzruszała i porywała swą pięknością.

Wpatrywała się bezustannie w swego męża a zwrok jej zdradzał marzycielską miłość dla niego. Gdy się tylko na kilka chwil oddalał, na uroczej twarzyczce jej odbijał się przestrach.

Młody małżonek, ideał męskiej piękności i siły, tworzył ciemną swą cerę i wybitnymi rysami zajmujący kontrast z angielską urodą jasnowłosej swej połowicy.

Pełen dumy i szczęścia stał przy niej i pouczającym nieco tonem zwracał jej uwagę na piękność okolicy, którą przebywali.

— Patrz, skarbie mój — rzekł — tam okazuje się nam już Kahlenberg.

Wkrótce przybijemy do brzegu i będziemy mogli przechodzić przez łąki oraz wspinać się po górach i napawać się pięknym obrazem natury, a wszak za tem tak tęskniłaś.

— Kochany Leonie — zwróciła się do niego — nieprawdaż, że wtedy wolno mi będzie złożyć rękawiczki? Są mi one tak niewygodne.

Lekka chmurka ukazała się na czole Leona, ale tylko przez chwilę, gdyż nie mógł wstrzymać się od uśmiechu na

widok jej małych, elegancką rękawiczką okrytych rączek, które błagalnie ku niemu wyciągnęła.

— Ależ, serce — przestrzegał on — dama, bez rękawiczek! Zechciej pojąć, że to jest absolutnie niemożliwem. Zróbmy ugodę.

Pozwalam ci jedną trzymać w ręce, ale obie, nie, to nie uchodzi.

— No, to przynajmniej małe ustępstwo — rzekła pełna radości. — Kiedy tak, to zdejmę rękawiczkę z prawej ręki, abym z tej okazji mogła spoglądać na drogi mi pierścień przez który zostałam twą małżonką.

Było to dzieciństwo, ale tak jej z tem było do twarzy, że młody małżonek byłby ją objął i popieścił, ale wobec obcego mu tłumu, musiał się powstrzymać i ograniczyć na czułem wejrzeniu.

Leon i Hortensja od tygodnia byli poślubieni. Ksiądz przekonał się, że ona w religii nie jest bez wiadomości, potrzebnych do konfirmacji i konfirmował ją bez trudności, poczem w kilka dni później ślub połączył kochającą się parę.

Mimo wielkiego natłoku ciekawych, uroczystość ślubna była poważna i smętna. Nie proszono gości. Rodzice nie dawali błogosławieństwa, tylko znajomi przypatrywali się obojętnie ślubowi. Ksiądz w serdecznych słowach polecił narzeczonemu los sieroty, a on zaprzysiągł sobie, że będzie jej strzegł, jak oka w głowie.

W dzień ślubu jeszcze wyjechał z nią do Wiednia. Zachwycił się jej zdumieniem, z jakiem patrzyła na świat, który jej był całkiem obcy i jej naiwna radość ze wszystkiego nowego i pięknego co spotkali wywołała i dla niego świeży urok w dawno znanych rzeczach. Dumny był także z tego, że żona jego wszędzie bardzo się podobała.

Tylko jej nie modne suknie, przeważnie arcydzieła Adelajdy, były jego zmartwieniem.

Ona zaś z wdzięcznością dziecka przyjęła nową, według wszelkiej mody sporządzoną toaletę, którą jej sprawił, a w tych korzystnych warunkach piękność jej bardziej jeszcze występowała.

Nie nosiła ona żałobę, ale nie wiedziała nawet o tem, że taki jest zwyczaj u ludzi, po utracie kogoś bliskiego.

Młoda para mieszkała w kilku pięknie urządzonych pokojach. Leon, naturalnie wcale nie myślał o dalszych studiach.

Używał miodowych miesięcy. Pokazywał żonie wspaniały Wiedeń i jego okolice i tak żyli sobie bez troski o jutro.

Hortensja przypatrywała się ciekawie temu nowemu światowi.

Raz jednak rzekła do męża:

— Wiesz, zdaje mi się, że ja jednak nie jestem tu obcą zupełnie. Może to właśnie Wiedeń był tym miastem, w którym żyłam z Marcinem i Adelajdą, nim przenieśliśmy się w góry.

Najbardziej spodobało jej się poza Wiedniem. Była szczęśliwa jak dziecko i tylko wspomnienie zmarłych jej opiekunów radość mąciło.

— — — — — —



W Niemczech istnieją państwowe obozy pracy. W tym roku, podczas świąt Bożego Narodzenia, obozy zaprosiły liczne grono dzieci, które obdarowano prezentami gwiazdkowymi. Oto miły obrazek przedstawiający podejmowanie miłych, małych gości.

Parowiec przybił do brzegu. Leon podał swej żonie ramię, aby ją poprowadzić na ląd.

Z ukrytą dumą widział, jak grupa oficerów, którzy już w podróży ją podziwiali, stanęła na brzegu, żeby ją raz jeszcze widzieć.

Przy tem robili uwagi wprawdzie nietaktowne, głośne, ale nadzwyczaj pochlebne.

— Na honor, anielsko piękne zjawisko — mówił jeden przez nos.

— Co za bujne, złote włosy — zachwycał się rudy, piegowaty jakiś porucznik.

— A jaka młodość i niewinność od niej bije — zachwycał się młodziutki kadecik.

Hortensja nie poznała się nawet na tem, że to jej się tyczy.

Cieszyła się tylko, że tu na lądzie tłum ludzi się rozprószył i szczęśliwa szła u boku męża, podziwiając wszystko, co widziała.

Leon, który sam podziwiał naturę, uważał z zachwytem, jak ona umie wyczytać jej piękność.

Rzeka błyszczała w słońcu — z dala chwytała za oko malownicza panorama Wiednia i w oddali niebieski łańcuch gór.

Podziwiali to wszystko przez kilka pięknych godzin, potem weszli do pewnej restauracji by odpocząć i pokrzepić się.

Hortensja między ludźmi była zawsze jakaś trwożna. — Na jej prośbę, Leon wziął stół stojący w pustym kąciku.

Leon przez pierwszy czas zawsze z niepokojem patrzył na Hortensję przy jedzeniu. Byłoby mu bardzo nieprzyjemnie, gdyby ona nie umiała elegancko się obchodzić z nożem i widelcem.

Ale z przyjemnem rozczarowaniem zauważył, że Hortensja nawet przy jedzeniu była elegancka i pełna anielskich wdzięków i przypisywał to jej wrodzonym przymiotem.

Podczas gdy jeszcze jedli, przyszła do restauracji ta sama grupa oficerów i zajęła miejsce za stołem stojącym naprzeciw nich.

Synowie Marsa zaczęli ją lekceważyć w bezwstydny sposób i robili wszystko możliwe, aby jej uwagę zwrócić na siebie.

Ona zauważyła wreszcie, że ci oficerowie patrzą wciąż w jeden punkt, więc obróciła się poza siebie, myśląc, że za nią jest coś takiego, co zwraca ciągle ich uwagę.

Gdy jednak tam nic nie zobaczyła, spytała Leona, na co ci panowie wciąż się tak patrzą.

— Na ciebie przecież — rzekł Leon z serdecznym uśmiechem.

— Na mnie? — spytała zdziwiona — może się zasmarowałam?

— Ależ nie — pocieszał ją Leon, zachwycony jej pięknością.

— A może kapelusz mi się przekrzywił? — spytała znowu.

Wtem jeden z oficerów wstał i podniosłszy szklankę, zawołał, patrząc znacząco na Hortensję:

— Zdrowie najpiękniejszej damy Wiednia!

— Wiwat! — zawołali jego towarzysze chórem, trącając się szklankami, następnie wychylili je duszkiem, patrząc przy tem na Hortensję, a wypiwszy, odwrócili szklanki dnem do góry, aby pokazać tem, że je do dna wysączyli.

Hortensja jeszcze nie wiedziała o co chodzi.

— O kim oni myślą? — spytała.

— O tobie — odparł Leon, marszcząc brwi. — Nie chcę w twojej obecności robić skandalu, bo inaczej dałbym im nauczkę. Musimy stąd pójść.

Wstał, podał jej ramię i w innej stronie ogrodu siadł przy stoliku.

Hortensja nie wiedziała co się stało, wiedziała tylko, że mąż się zachmurzył.

— Gniewasz się na mnie? — spytała — czy zrobiłam może coś złego?

Leon nie mógł się oprzeć temu wdziękowi.

— Nie, nie, moja złota — pocieszał ją czule — każda wonna róża musi

być przygotowana na to, że ją będą podziwiać.

Ucieszyła się jego wypogodzoną miną, gdy wtem, przekupień z różami zwrócił jej uwagę.

— Jakie ładne róże — zawołała.

— Przyniosę ci je zaraz.

To rzekłszy wstał, aby pójść za przekupniem z różami.

— Nie — zatrwożyła się Hortensja — nie zostawiaj mnie samą między obcymi ludźmi.

— Ależ nie bądź naiwną, to przecież tylko na kilka minut — uspakajał ją młody człowiek. Nikt ci nie ubliży. Musisz być więcej samodzielną.

Następnie oddalił się, a trwożne spojrzenie Hortensji podążyło za nim.

Leon wybrał u kwiaciarza najpiękniejszy bukiet, jaki znalazł u niego. Ale gdy chciał wrócić do młodej swej żony, spotkał się z pewnym przyjacielem, którego powitał ze zdziwieniem.

Zadziwił się mimowoli tem spotkaniem, lecz po kilku minutach pożegnał przyjaciela, by Hortensji nie dać dłużej czekać.

Lecz wróciwszy do swego stołu, zobaczył ze zdziwieniem, że Hortensja trzymała w ręku bukiet o wiele piękniejszy od tego, który on jej przyniósł, i że z radością przypatrywała mu się.

— Popatrz, Leonie — zawołała uradowana — co za wspaniałe kwiaty dostałam od tych panów, którzy w tak dobrym byli humorze.

Wręczyli mi je oni z nader uprzejmemi słowami.

— Co? — krzyknął Leon z gniewem — i ty te kwiaty przyjęłaś?

— Czyż nie powinnam była? — spytała Hortensja zdziwiona.

— Zapamiętaj to sobie raz na zawsze — krzyknął Leon z niezwykłą szorstkością. — Nie wolno ci nigdy przyjmować od obcych panów, nawet najmniejszej bagatelki.

— Co odpowiedziałaś tym zuchwalcom? — badał ją dalej.

— Powiedziałam: dziękuję serdecznie. Panowie jesteście tak uprzejmi — przyznała się Hortensja ze łzami w oczach.

Leon zgrzytał zębami ze złości. Później porwał niewinne kwiaty, które go w taką złość wprawiły i pobiegł do stołu, przy którym siedzieli jeszcze ci sami oficerowie, bawiąc się w najlepsze.

Gdy zobaczyli Leona bladego, ponurego i drżącego ze wzburzenia, zbliżającego się do nich, z kwiatami w ręku, przeczuli znać następstwa swego czynu, bo zamilkli.

— Moi panowie — zagadnął ich Leon — przystąpiłem do was, aby wyjaśnić nieporozumienie i mam nadzieję, że nie będziecie się wahać przeprosić moją żonę za obelgę, którą jej wyrządziliście. W przeciwnym razie będę zmuszony wymusić satysfakcję od panów energiczniejszymi środkami.

Na poparcie słów swoich rzucił kwiaty na stół i dalej mówił:

— Żona moja wychowała się w ustroniu, zdala od ludzi i to jest może powodem, że nie umie się ona zawsze znaleźć w kropce; w każdym razie



Słynna tancerka La Jana w nowym filmie p. t. „Trura".

jednak nie jest to uniewinnieniem dla natrętnej uprzejmości, którąście panowie uczciwą kobietę prześladowali.

Stanowcze wystąpienie Leona wywarło widocznie wielkie wrażenie na oficerach, gdyż najstarszy z nich rangą wstał i rzekł uprzejmie.

— Mój panie, oświadczam panu, że jesteśmy zdecydowani dać panu satysfakcję, jakiej tylko pan zażądasz. Jednak pozwól pan wprzód, abyśmy swoje postępowanie uniewinnili. Żaden z nas nie uważał tej młodej damy za pańską żonę. Byliśmy pewni, że ot jakaś piękna szwaczka, którąś pan wystroił i dla rozrywki ze sobą zabrał, a w myśli tej umocniło nas nader wyzywające znalezienie się pańskiej żony.

Zapewne nie zauważyłeś pan, jak ta młoda dama, wskazując na nas palcami, zawołała:

— O, co za piękne mundury.

Przyczem przyjmowała nasze wcale niedwuznaczne hołdy z widoczną radością, co wraz z innemi niezręcznemi drobnostkami ośmieliło nas i spowodowało nasze, może nie całkiem nienaganne postępowanie.

Jednak po pańskim oświadczeniu, prosimy pana wszyscy razem o przebaczenie i jesteśmy gotowi poprosić małżonkę pańską, aby nam tego wybryku naszego za złe nie wzięła.

Uczciwe i pełne godności znalezienie się oficera uspokoiło podrażnionego Leona.

— Uniewinnienie pańskie sprawia mi zupełną satysfakcję — odrzekł uprzejmie. Zjawienie się panów przed moją żoną, wprowadziłoby ją tylko w niepotrzebny ambaras i dla tego nie przyjmuję propozycji panów.

Ukłonił się grzecznie, co uczynili także wszyscy oficerowie i pospieszył znów do Hortensji.

Ku wielkiemu swemu utrapieniu, zastał ją zapłakaną.

— Na miłość Boską — krzyknął zirytowany — czy chcesz jeszcze bardziej zwracać uwagę na siebie swym postępowaniem niż dotychczas? Sądzę, że miałem dziś już dość nieprzyjemności przez twoją nieoględność i brak znalezienia się.

Otrzyj łzy natychmiast.

Ten niemiły ton był dla Hortensji czemś nowym, tak, że spojrzała na męża zdziwiona.

Gdy jednak zauważyła poważną i surową minę męża, twarzyczka jej przybrała taki wyraz strachu i żalu, że młody małżonek zaczął żałować swej gwałtowności i przemówił do niej grzecznie.

— Uspokój się kochana! Otrzyj łzy i pójdź ze mną. Pojedziemy dorożką do domu. Mam już na dziś dość tych obcych twarzy i pragnę być sam na sam z tobą.

Przez drogę wyjaśniał jej całą nieoględność jej zachowania się i przykrą sytuację, w którą jego przez to wplątała.

Hortensja była nader posłuszną i błagała go o przebaczenie z wzruszającą skruchą. Było jednak widocznym, że go nie zrozumiała, że nie zdawała sobie sprawy z tego, o co chodzi i że Leon mógł się spodziewać, że ona go przy najbliższej sposobności znów w jaką fatalną sytuację wplątą.

Pierwszy raz uczuł Leon jakąś goryczy przeciw swej uroczej żonie.

Jej piękność, niewinność i anielska czystość nie wydawały mu się więcej zaletami najbardziej i jedynie pożądania godnymi; uznał on, że znajomość świata i znalezienie się niczem innem zastąpić się nie daje i jest warunkiem bardzo ważnem.

Zły humor Leona odbijał się w całem jego usposobieniu a Hortensja schyliła główkę pokornie i stroskanie jak kwiat złamany burzą.

Uczuwała ona dotkliwie gniew swego bożyszcza. Nie pytała więc nawet, czy ten gniew był usprawiedliwiony, lecz w najgłębszej skrusze przypisywała sobie całą winę i mimo, że wina ta nie była jej całkiem jasną, postanowiła sobie święcie, że się poprawi.

Był to pierwszy dysonans w krótkim pożyciu małżeńskim młodej, kochającej się pary i mimo, że prędko przeszedł, uczuć się dawał jeszcze długi czas potem, tak jak dźwięk podawany i powtarzany dalej przez echo aż do zupełnego przebrzmienia.

ROZDZIAŁ XLVII.

Baronowa von Wimpfen w swoich czterech ścianach

Deszcz padał strumieniem, a świat elegancki zebrany w Biaritz dla przepędzenia kilku wesołych tygodni, musiał zrezygnować z przebywania nad wybrzeżem morskim i schronić się wedle upodobania do własnych swoich pokoi lub też do wspólnych sal przeznaczonych do zabaw.

W jednym z wykwintnie urządzonych pokoi, choć także noszących cechę hotelową, leżała baronowa von Wimpfen na wygodnym szezlągu w kosztownym, lecz trochę niedbałym negliżu.

Ciąg dalszy na str. 13

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

O KRZYWDACH ZAPOMNIEĆ TAK TRUDNO

„Zefi". Kiedyś natknęłam się na takie zdanie: „krzywdę darować można i trzeba, zapomnieć ją jednak nie w ludzkiej jest mocy". Długo myślałam nad tym powiedzeniem i wreszcie doszłam do wniosku, że jest w nim zawarta wielka prawda. Istotnie, trudno ludziom zapomnieć o krzywdach, jakich w życiu doznali — widzę to i z listów moich Sympatyków i wnioskuję z słów osób pokrzywdzonych, a dobrze mi znanych. Krzywda idzie częstokroć przez życie, jak cień za człowiekiem i zawsze jednakowo boli — dlatego też nie dziwię się Pani, Droga „Zefi". Skrzywdził Panią los i teraz źle Pani, tak trudno pogodzić się Pani z tym, że szczęście przyniosło ból, tak ciężko zapomnieć o dobrych chwilach i iść znowu przez życie samotnie... Och, Droga „Zefi", żal mi Pani ogromnie, ale nie w mojej sile wrócić szczęście Pani, wrócić je może Pani tylko Bóg i w Nim też musi Pani pokładać całą nadzieję.

Serdecznie Panią pozdrawiam i proszę o pamięć w chwilach smutku i zwątpienia.

Wierszyk, niestety, słaby — do druku oddać go nie mogę. Dopisek natomiast chętnie zamieszczam:

„Czarnulce z pod Śremu" i „Złotowłosej Haluś" dziękuję bardzo za pozdrowienia i w całej pełni je odwzajemniam. Może ktoś z Sympatyków czy Sympatyczek „Krainy" z Poznania zechce nawiązać kontakt ze mną, gdyż jestem zmuszona spędzić tu całą zimę, a nie mam absolutnie żadnych znajomości i jest mi czasami bardzo smutno".

KILKA SŁÓW W SPRAWIE BARDZO AKTUALNEJ

„Czarny Hajduczek". Ponieważ w liście swym porusza Pani bardzo aktualną obecnie w „Krainie" sprawę, oddaję go w całości do przedruku. (Administracja nasza może dostarczyć Pani numery z odcinkami powieści „Na łasce", ale dopiero po nadesłaniu dokładnego adresu).

„Droga Pani Zosiu! Chodzi o to, czy ma Pani dać swoją fotografię do „Krainy", czy nie... Obserwując „Krainę", widzę, że dużo jest Sympatyków, którzy są za tym, ale jest również dużo takich, którzy stawiają „veto". Ja osobiście wolę, aby P. Zofia była nadal tajemniczą. Czyż nie lepiej, że każdy sobie Panią tak wyobraża, jak chce? Wszyscy Panią kochamy, a wyobraźnia widzi Panią — matką, siostrą, czy najlepszym przyjacielem. Z tym nam dobrze i chyba lepiej być nie może. Mam nadzieję, że w powyższej sprawie będzie więcej głosów?

„Mała Konwalijko", jesteś genialną — poznajesz? Całuję mocno.

„Cis", z kim Pan teraz koresponduje? Nie odpowiedziałam z wiadomych powodów. Serdecznie pozdrawia — a wie Pan kto? — ktoś z M. dawniej Cz.

„Sym", lubię sobowtóra Pana z ekranu. Może Pan do mnie napisze?

„Harold Lloyd", znam Poznań doskonale, „George'a również — jeśli ma Pan ochotę proszę napisać — pogawędzimy.

Sympatyczna „Manolo"! Czy należysz jeszcze do „Krainy"? Jeśli tak, to odezwij się. Przesyłam Ci dużo pozdrowień!

„Dzince" — „Białej Uajali" — „Sportsmence" — „Dumce" — „Jadźce z Kujaw" — „Blance" — „Marucie" — „Przedwiośniu" — „Wirrytowi" i „Te-Em" — przesyłam dużo, dużo pozdrowień. Całej „Rodzince" — śliczne pa!"

„WOLAŁABYM"...

„Bursztynowe Serduszko". Jak widzę z listów, w „Krainie", nie na żarty rozpoczęła się walka na pióra, rezultatem której będzie albo umieszczenie mej fotografii, albo też nie...

I „Bursztynowe Serduszko" ma w tej materii kilka słów do powiedzenia:

„Chociaż dręczy mnie ciekawość, żeby Panią zobaczyć, to jednak wolałabym, aby pozostała Pani nadal tajemniczą — szkoda byłaby może dla niejednych wyzbyć się własnych wyobrażeń...

„Ciekawa jestem, co porabia w tej chwili „Mika" — milutki urwis". Osoba Jej bardzo mi się podobała. Chciałabym z Nią nawiązać bliższy kontakt.

„Córce Wichru" ślę miłe pozdrowienia, również Jej Braciszkowi.

Pozdrowienia dla „Stefka z Gdyni" — mieszkam blisko portu, może Pan napisze do mnie?

Zależy mi bardzo na korespondencji z jakąś milutką dziewczynką z Brodnicy. Odpowiedź na list dam natychmiast!

Pani Lusieńko z Pucka, ślę Pani przez „Krainę" moc pozdrowień i całusów.

„Zapomniana Syleno", list wysłałam!

„Pepi w mundurku", proszę przyjąć ode mnie serdeczne pozdrowienia!"

A MOŻE!...

„Draniulek II" i „Zawierucha". Chętnie, bardzo chętnie przyjmuję Panią do naszego grona.

„Czy kto zainteresuje się naszymi osóbkami?" — A może!... zwłaszcza po przeczytaniu poniższego liściku:

„Tak bardzo pragnęłyśmy zawsze należeć do „Krainy" i wreszcie — stało się — należymy..

Aż strach nas bierze, gdy pomyślimy, że trzeba się przedstawić? Wiemy jednak, że w „Krainie" są miłe osoby, które potrafią płacić sercem za serce i nie krytykują zbyt ostro, więc zaczynamy:

Pierwsza z nas — „Draniulek" — jest w rzeczywistości małym draniem. Ogromnie lubi wesołe towarzystwo i szczerość. Nie znosi słodkich słówek i podlizywania się. Może napisze do niej „Ny-czar". Zaimponował bardzo krótkim apelem. A może „Lawrence"?

Druga z kolei — „Zawierucha" — to bardzo wesołe i żywe stworzonko. Lubi wszystko i wszystkich i nawzajem cieszy się szczerą sympatią swego otoczenia. Bardzo lubi chłopców, ale — tylko brzydkich, bo „ładność" u mężczyzny to niepotrzebny balast. Niech więc napisze ktoś samotny lub brzydki, a „Zawierucha" postara się umilić mu samotność lub pomóc odzyskać wiarę w szczęście. A może „Człowiek Śmiechu" zdecyduje się napisać kilka słów?

„DLACZEGO?"

„Eros". Nawet mi przez myśl nie przeszło gniewać się na Pana — primo dlatego, że nie mam powodu, a secundo, że forma listów Pana, jest zawsze tak miła i bezpośrednia, że dotknąć by mnie w niczem nie mogła.

„Dlaczego ludzie jedni drugim robią na przekór i złość, zamiast pomóc?" — pyta Pan między innymi. Odpowiem Panu jak najprościej: bo to wypływa z natury danych osób, natury prymitywnej, zastygłej, w samolubstwie i złych instynktach. Ale i takie natury istnieć muszą, choćby z tej racji, aby prawem kontrastu potęgować piękno dobra i wartość natur szlachetnych.

Na resztę zapytań postaram się odpowiedzieć Panu następnym razem, gdyż dzisiaj mam w „Krainie", ze względu na wielki napływ korespondencji, bardzo ograniczoną ilość miejsca. Łączę szczery uścisk dłoni.

CZY NIE ZECHCIAŁABYŚ?...

„Izarys". Dziękuję Ci, Miła „Izarys" za ten kochany list, w którym znalazłam tyle ciekawych rzeczy o O. Czy nie zechciałabyś mi przesłać, Kochanie, swego fotosu? — byłabym bardzo wdzięczna!

Autor wiersza „W rozterce" mieszka w Poznaniu, a nie w Inowrocławiu.

A teraz „komunikaty" Twoje, „Izarys":

„An-ka", proszę nie gniewać się, że nie dałam odpowiedzi, ale czuję, że korespondencja nie przyniosłaby nam zadowolenia. Łączę przyjacielski uścisk dłoni!

„Nowicjusz", przepraszam Pana również, że nie dałam odpowiedzi na ostatni list, ale stało się to z przyczyn ode mnie niezależnych — namyślam się, co zrobić?

Serdeczne i milutkie pozdrowienia przesyłam: „Smutnej Oleńce" — „Sportsmence" — „Dance" — „Irce z Torunia" — „Kraterowi II" (czekam na odpowiedź!) — „Narcyzowi" i „Smutnemu Stefowi". Może która z wymienionych Pań napisze do mnie, albo któraś z Pań, kochającą się w robótkach?"

„TĘSKNIĘ i MARZĘ"...

„Dziewczyna z Południa" pisze o sobie:

Przepadam za psami i końmi, nie dziwcie się, że zaczynam od tego, ale pasjami lubię wymienione zwierzęta. Poza tym lubię tańczyć śpiewać i wsłuchiwać się w tony muzyki.

Nieraz tęsknię i marzę... o królewiczu z bajki. Czy zjawi się? Piszcie do mnie, a zwłaszcza Ty, „Cyganko o smętnych oczach" i „Wesoły Łobuzie z Działdowa".

„DNI SZCZĘŚCIA BYŁO MAŁO"...

„Biały Wrzos". Podaję Pani przyjaźnie dłoń i życzę szczerze, aby w smutne życie Pani odtąd już częściej wplatały się szczęśliwe dni. List Pani oddaję w całości do przedruku:

„Nie wiem poprostu, w jaki sposób podziękować moim znajomym, że polecili mi „Moje Powieści".

Najwięcej interesuje mnie „Kraina Szczerości". Życie moje było dotąd smutne i jednostajne, ale teraz mam nadzieję, że będzie już lepiej.

Od kilku lat mieszkam w małym, prowincjonalnym miasteczku, w zachodniej części Polski. Do najszczęśliwszych dni mego życia, zaliczam lata szkolne. Były to czasy wolne od trosk i zmartwień. Od chwili, gdy zaczęłam pracować, życie moje stało się jednym pasmem cierpień. Dni szczęścia było bardzo mało, a i te były były krótkie. Znam tylko życie, pełne trosk i zmartwień.

Nieraz, kiedy mi bardzo smutno, rzucam w przestrzeń pytanie, czy ja mogę mieć jakieś prawo do szczęścia i tak jakoś trudno znaleźć mi na to odpowiedź. Może odpowie najbliższa przyszłość...

„Jestem wysoką, szczupłą brunetką o długich warkoczach i dużych, szarych oczach. Kocham dobroć i piękno."

DLA SYMPATYKÓW „KRAINY"

„Waldy" przesłał na moje ręce kilka następujących słów dla Sympatyków „Krainy":

„Hallo! P. Halszko i Jędrku Z. z Torunia! Za pocztówkę ściskam Pani łapki. Jakaż obecnie panuje na wykładach atmosfera? Jędrku! Czy wyjeżdżasz do L.? — skrobnij słów kilka lub nadaj w dniu wyjazdu depeszę. Ściskam Ci dłoń!

„Bajko", czy nie jest Pani zaaferowana odkryciem pseudonimu? Życzenia zrealizowały się — dziękuję, ale i jednocześnie proszę mi wierzyć, że czasów studenckich nic w życiu nie zdoła zatrzeć — pozostaną na zawsze miłymi wspomnieniami. Ściskam Pani ręce i proszę — napisz znowu.

Łączę także miłe pozdrowienia dla Hali, Reny i Janusza Z. z P.

CZY TO NIE NASZA WINA?

„Marylka z nad Warty". Nie powinnaś bać się ludzi, Marylko. Ludzie nie są tak źli, jak to się nam nieraz wydaje. Trzeba tylko umiejętnie podchodzić do nich i trzeba umieć wysondować u nich tak samo wszystkie zalety, jak i wady. Często słyszy się, że ludzie są źli, fałszywi, nieszczerzy i zazdrośni, a prawie nigdy — ludzie są także dobrzy, życzliwi i przyjaźnie usposobieni. Dlaczego? Czyż nie dlatego, że podchodzimy do naszego otoczenia zwykle nieufnie, a nawet wrogo, lub czy nie

dlatego, że nie potrafimy sobie zasłużyć na sympatię i życzliwość?... W każdym razie, wierz mi, Marylko, że tęsknota Twoja za ludźmi dobrymi i serdecznymi skończy się prędzej, czy później. Kto wie, czy nie będzie w tym i trochę zasługi „Krainy" — cieszyłabym się bardzo!

Pisz jak najczęściej, Marylko i przyjm ode mnie moc siostrzanych uścisków.

„JESTEM PRZECIWNA"...

„Panna Lala". Ponieważ „Panna Lala" w w pierwszym liście napisała bardzo mało o sobie, podaję dzisiaj treść Jej drugiego liściku, w którym mówi nieco więcej o sobie:

„Jestem sobie taką zwykłą 21-letnią dziewczynką, szatynką, dosyć wesołą i nade wszystko wszędzie bardzo lubianą.

Ktoś prosił, aby umieściła Pani swą fotografię w „Moich Powieściach" — jestem stanowczo temu przeciwna. Wolę sobie Panią wyobrażać tak, jak chcę i nie chciałabym doznać rozczarowania. Tajemniczość zawsze więcej pociąga i zaciekawia.

Bardzo serdeczne pozdrowienia przesyłam — „Lilce" i „Leśnej Rusałce". Równocześnie załączam prośbę do „Krainiaków", aby pisali do mnie. Poza tym pozdrawiam jeszcze P. Leliwę Zamczyńskiego i P. G. Falińskiego, prosząc wymienionych Panów również o kilka słów".

NIE ZAPOMINAM

„Mała Konwalijka". O tak, moja Maleńka, na świecie jest dużo smutku i bólu, ale na to już rady nie ma. Tak samo, jak niewiadomo, skąd bierze się radość i szczęście, tak samo nie wiadomo skąd ból i smutek. Wszystko to, to wola sił wyższych, nadprzyrodzonych, którym próżno nieraz przeciwstawiać się. Przesyłam Ci, „Konwalijko", ciepły uścisk dłoni i nie zapominam, jak zwykle, przesłać od Ciebie kilka słów Sympatykom:

„Iwolo", przesyłam Ci słowa otuchy i wiary w lepsze jutro i dużo pozdrowień.

„Czarnulo", czekam na list!

„Maruto — moc buziaków! Nie zapominam nigdy o naszych miłych chwilach w Łodzi.

„Konwalio", co z Tobą?

Moc pozdrowień ślę „Oryginałowi" i uznanie za przepiękny wierszyk „Ból" p. Cecylii Pawlikowskiej".

„CZUJĘ SIĘ BARDZO OSAMOTNIONĄ"...

„Samotny Sfinks". Listy do mnie, wystarczy kierować do redakcji „Moich Powieści" z dopiskiem: „dla p. Zofii". Resztę listu Pani oddaję do przedruku, przed tym jednak serdecznie Panią pozdrawiam.

„Czuję się bardzo osamotnioną. Życie moje jest szare i wlecze się za mną, jak karawan. Przeszłam w życiu już bardzo dużo.

Jestem wysoką, zgrabną dziewczynką, brunetką o piwnych, wciąż zadumanych, oczach i tajemniczym, absorbującym uśmiechu. Urodziłam się w czasie największej zawieruchy wojennej. Kocham wszystko, co piękne, wzniosłe i szlachetne, a przede wszystkim cenię głęboką prawdę.

Miłe pozdrowienia przesyłam: „Inżynierowi z Francji", Oficerom Legii Cudzoziemskiej, „Lotnikowi z Pomorza", „Marzycielowi z Czerniejewa", p. Januszowi Dąbrowskiemu, p. por. Brewińskiemu z G., „Jerzemu" — „Waldemu" i wszystkim Czytelnikom „Moich Powieści" z Łekna".

„MOŻE NAPISZECIE DO MNIE?"

„Wesoły Kozaczek". Z listu Pana wnioskuję, że prowadzi Pan żywot, w całym tego słowa znaczeniu człowieka pogodnego i z wszystkich i z wszystkiego zadowolonego. Spokój Pana jest przedziwny — nawet daleka wyprawa do kina nie zniechęca Pana, a przeciwnie usposabia jak najlepiej. Przyjemnie czyta się listy Pana — może to kogoś zainteresuje i ktoś zapragnie poznać bliżej „Wesołego Kozaczka"? Pośrednictwem służę jak najchętniej!

A teraz jeszcze dopisek „Wesołego Kozaczka":

„Hallo! „Wesoła Marietto"! Jak mam sobie wytłumaczyć milczenie Pani?

„Biała Uajali" — „Bajko" — „Takie małe Coś z loczkami" — „Lucy z Rybnika" — „Marleno II" — „Maryśko" i „Steniu" — zainteresowałem się Wami — może napiszecie do mnie?"

PRAWDOPODOBNIE NIE ZAMIESZCZĘ

„Zrozpaczona Maryla". Ślicznie dziękuję za zaproszenie, z którego przy pierwszej lepszej okazji, nie zapomnę skorzystać. Fotografii swojej prawdopodobnie nie zamieszczę...

Za nadesłane zdjęcie również dziękuję i ogromnie cieszę się na wizytę Pani. Ślę moc pozdrowień.

HALLO!

„Zawiedziony". Cieszę się, że życie ułożyło się obecnie Panu tak szczęśliwie i spokojnie. Oby tak pozostało nadal!

Dopisek Pana zamieszczam:

„Hallo! „Czarnulko ze Świecia"! Czy Pani już wróciła z podróży? Mam wątpliwości, gdyż nie otrzymałem jeszcze dotychczas odpowiedzi na ostatnie listy.

„Steniu Ch.", czy nasz kontakt mam uważać za zerwany?"

KTO?

„Tartuk". Życzeniu Pana uczyniłam zadość i obecnie w redakcji jest już odpowiedź dla Pana. Apel z całą przyjemnością zamieszczam:

„Jestem sympatykiem „Krainy" od kilku lat i obserwując — stwierdziłem, że rodzinka „Krainy" stale powiększa się, co dowodzi o jej popularności. Dlatego dziś ośmielam się prosić o przyjęcie mnie i przedstawienie całej „Rodzince".

Jestem wzrostu średniego, podobno przystojny, o oczach czarnych i długich rzęsach, a przytem fotogeniczny. Lubię i używam dużo wodnych sportów. Pracuję w biurze tylko 7 godzin, więc wolny czas chętnie poświęcę na wymianę myśli z Sympatykami „Krainy".

Kto więc z „Krainy" zechce do mnie napisać i ewent. wymienić fotki?"

KTO NAPISZE — NAPEWNO NIE BĘDZIE ŻAŁOWAŁ!

„Sieroca Dola". Sympatyczka „Krainy", ukrywająca się pod powyższym pseudonimem, jest miłym, dobrym, i kochanym stworzeniem — sierotą, taką jedną samiuteńką na świecie. Ludzie skrzywdzili ją bardzo, dużo cierpiała, ale nie skarży się nigdy i pogodnie patrzy w życie. Chciałaby nawiązać kontakt skimś miłym i wesołym. Kto napisze — napewno nie będzie żałował!

PODZIĘKOWANIE I POZDROWIENIA

„Lakoniczek" dziękuje za pozdrowienia „Wa-Li" i „Jarzębinie", oraz pozdrawia serdecznie „Gosposię" i „Baśkę z pod Koła".

POZDROWIENIA PRZEKAZUJĘ!

„Uwieńczona". Przyjmuję Panią do „Krainy" bardzo chętnie! Myślę, że i do Pani ktoś napisze, zwłaszcza, gdy się dowie, że jest Pani miłą blondynką o ciemnych, zalotnych oczach.

Pozdrowienia, załączone przez Panią dla: „Smutnej Kazieńki" — „Stęsknionej" — „Smutnego Serduszka" i „Smutnej Indianki" — przekazuję.

(Ksiądz, o którego Pani pyta, jest obecnie we Wrześni (Wlkp.).

KIM PANI JEST?

„Maria". Kilka słów Pani ujęło mnie ogromnie. Kim Pani jest? Proszę napisać obszerniej i trochę więcej o sobie. Serdecznie pozdrawiam!

SAMOTNOŚĆ

„Zeniuś — Wielkopolanka". List Pani zamieszczam z serdecznym życzeniem, aby samotność Pani nie ciążyła już więcej...

„Mieszkam w małym miasteczku. Jestem niepoprawną marzycielką. W życiu zasadniczo niczego mi nie brak, ale nieraz odczuwam samotność. Pragnę ją czemś wypełnić, dlatego apeluję o listy. Piszcie do mnie, a odpowiem Wam chętnie!

„Gladiatorze", może Ty prześlesz mi kilka słów?

„Fakirze", zainteresowałam się Panem — czy otrzymam miły list?

APEL Z ZAPADŁEJ WIOSKI

„Słodka Lu" i „Tatiana", dwie miłe mieszkanki zapadłej wioski, wstępują dzisiaj do „Krainy" i kolejno przedstawiają się:

„Słodka Lu" jest blondynką, średniego wzrostu, ogólnie bardzo lubianą. Kocha taniec, muzykę i sport. Chętnie nawiąże korespondencję z jakimś mierniczym z Torunia lub Poznania.

„Tatiana" jest platynową blondynką, pełną temperamentu. Wykształcenie — średnie. Pragnie wymieniać myśli z osobą naprawdę miłą i szczerą.

ADRESY!

O adresy, celem odesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Tartuk" — „Leśniczanka z pod Jarocina" — „Szarotka-Bydgoszczanka" — „Jasne Słoneczko" — „Samotna Kukułka" — „Samotna Ela z nad Drwęcy" — „Niebieskooka Torunianka" — „Lotos", „Irka z Torunia" — „Minerwa" z „Hultajskiej Trójki" — „Ada" z pod Wolsztyna".

ZAMIEŚCIŁAM

„Łowca przygód". W jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści" — zamieściłam już apel Pana, dzisiaj więc przesyłam tylko Panu serdeczny uścisk dłoni i wiadomość, że listy wysłałam.

Teczka Wujka Janusza

NIE ROKUJĘ...

„Fanny". Wiersze nie posiadają najmniejszej wartości literackiej. Nie rokuję Pani żadnych nadziei na obranym polu — może lepiej zabrać się do czegoś istotniejszego? Pozdrowienia odwzajemniam uściskiem dłoni.

OCENĘ JUŻ WYDAŁEM

P. G. K. Truskawiec. W odpowiedzi na pocztówkę Pana, komunikuję, że ocenę Pańskich wierszy wydałem już w jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści". Serdecznie pozdrawiam!

DZIĘKUJĘ!

„Przedwiośnie". Uprzejmie dziękuję za pamięć i życzenia, chociaż odebrałem je nie w porę. (Imieniny obchodzę 11 listopada).

OCZEKUJĘ!

„Kochanie". Ucieszyła mnie miła zapowiedź, a najwięcej obietnica przesłania fotografii. Dziękuję Pani za prze — przemiły list i z niecierpliwością oczekuję na przesyłkę. Ślę moc serdeczności!

BARDZO ŻAŁUJĘ!

„Lawrence". Bardzo żałuję, że nie mogę posłuchać tych pięknych koncertów, jakie Państwo od czasu do czasu urządzacie. Wątpię, czy w Żninie udałoby się zebrać tak miły zespół muzyczny — to, co udaje się we Wrześni, nie udaje się w Żninie i odwrotnie. Tak już bywa!

O ile będę obecny w redakcji, podczas Pańskiej wizyty, nie omieszkam zamienić kilku słów z Panem — oczywiście! Wesołych Świąt!

WYSTARCZY, ŻE PISZE PANI SZCZERZE

„Blanka". „Nie wierz kobiecie" mówi przysłowie, to prawda, ale nie można przysłowia tego, Droga „Blanko", stosować zawsze, gdyż wówczas działaby się krzywda kobietom. Tym więcej więc, jeżeli chodzi o zapewnienia Pani, nie mogę kierować się wymienionym przysłowiem. Wiem, że pisze Pani szczerze wszystko to, co czuje i to mi wystarczy. Z całego serca dziękuję Pani za to! Również za miłe zdjęcie!

Z nadesłanych wierszy wybrałem do druku: „Nie mów".

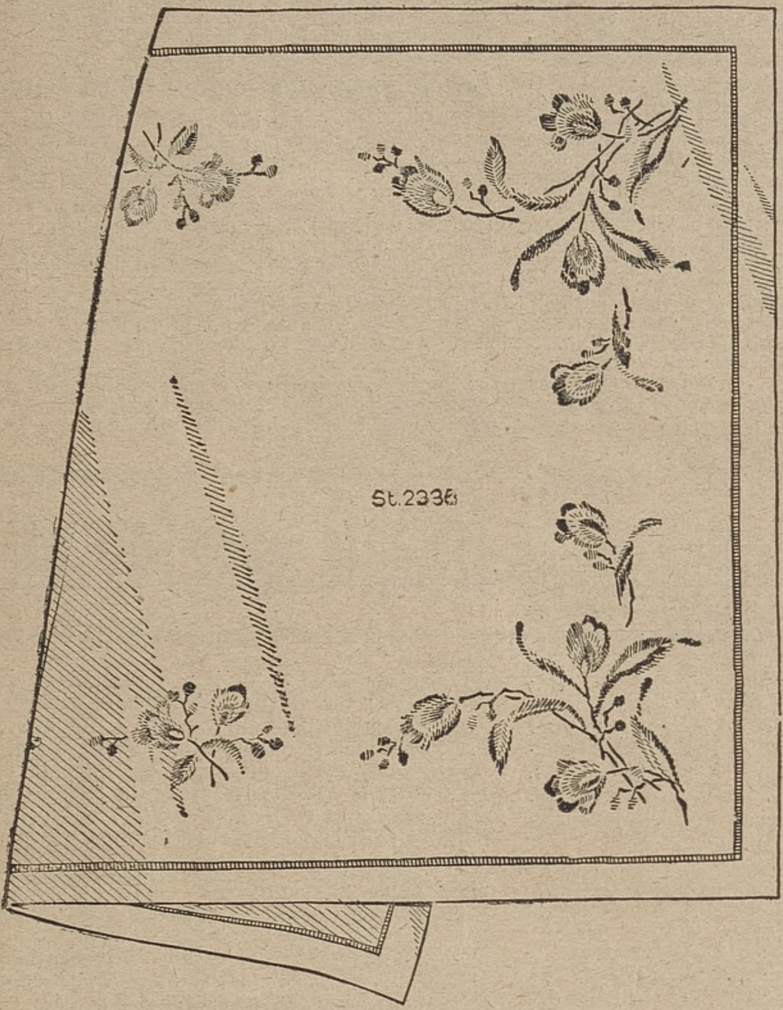
„Księżniczko Tili" i „Porporato"! Dziękuję Wam za miłe pozdrowienia. „Dumko", czy otrzymałaś mój liścik? Pisz do mnie, „Nunuś"!

„Mała Mery"! Cieszę się, ża pamiętasz o mnie. Kwiaty nadeszły do mnie świeże, pachnące. Dziękuję za nie z głębi serca. List wysłałam, Maryluś!

„Ryśko D.", zgadzam się z Tobą w zupełności i podtrzymuję Twoje wywody à propos incognita p. Zofii. Kto jeszcze?

Hallo! „Córko Wichru"! Przed kilku dniami dowiedziałam się przypadkowo kim jesteś. Cieszę się z tego, gdyż okazało się, że znamy się osobiście. Również doskonale znam i Brata Pani. Proszę sobie przypomnieć pasażerkę autobusu B. na linii Gniezno — Kłecko — Janowiec — Żnin. W roku 1931 często robiłam przejażdżki. Pozdrawiam Panią (wszak prawda, imię Pani Lena?) oraz Jej brata — starego wojaka.

Raj kobiet





Śliczna serweta i poduszka

Tytuł bynajmniej nie przesadzony, gdyż zamieszczona serweta i poduszka, po wyhaftowaniu wyglądają naprawdę prześlicznie. Serwetę robimy z szarego płótna, tak samo poduszkę. Motywy, złożone z tulipanów, haftujemy kolorowym jedwabiem.

Wzór St. 2336 można nabyć w naszej administracji, po uprzednim nadesłaniu 4,00 zł, wzór St. 2337 w cenie 2,50 zł.

Rządy mężczyzn kończą się

Jedno z pism amerykańskich publikuje artykuły, zapowiadające nieuchronną zagładę dotychczasowej supremacji mężczyzn. Panowanie mężczyzn, według słów publicysty ma się ku końcowi, a jak autor mówi „są to już ostatnie ich podrygi".

Mężczyzna upodabnia się coraz bardziej do słabej białogłowy, tej z przed lat, podczas, gdy kobiety „zmężczyźniają się" i stają się podobne do mężczyzn. Wystarczy przyjrzeć się tłumom zapełniającym w mroźny dzień wagony podmiejskich pociągów — mężczyźni otuleni w futra i ciepłe płaszcze drżą z zimna, podczas, gdy ich żony spacerują w jedwabnych pończochach i w dekoltowanych kostiumach.

Dawniej atletyką zajmowali się tylko mężczyźni — dzisiaj młode panienki boksują się uprawiają sport pływacki, hockey, latają samolotami, prowadzą wyścigowe samochody. Ongiś wykpiwano kobiety, które zbyt dużo czasu tracą na ubieranie się. Dzisiejsza kobieta uprościła problem ubierania, gdyż modna suknia i bielizna zredukowane zostały niemal do rozmiarów listka figowego, zaś nieszczęsny mężczyzna w dalszym ciągu dźwiga na sobie ciężkie i skomplikowane odzienie, i codziennie stacza walkę ze spinkami, krawatami i innemi akcesorjami męskiego stroju.

A oto treściwy wykaz kobiet, które dokonały wyczynów zgoła niekobiecych.

Georgia Englehardt 25-letnia miss z New Yorku rodem wdarła się na 90 szczytów górskich, w tej liczbie na Mont Victoria w Kanadzie (3800 mtr.) i to podczas zawiei śnieżnej. Vilma Mitchell, lat 19 jest mistrzynią gry w „baseball" i zarabia miesięcznie 1000 dol. Nancy Nannetti z Kalifornii jest znaną hodowczynią lwów.

Eleonora Lear z Bostonu w wyścigach zorganizowanych przez studentów z Harvard — wyprzedziła wszystkich i dobiegła pierwsza do mety, oddalonej od startu, o 120 km.

Ale nie na tym koniec. Pani Reggio wygrała zakład wynoszący 3000 ft. szterlingów, gdyż w pięć minut weszła na niebotyczne schody Woolworth Building w New Yorku, a pani Huddeston zdobyła rekord wytrzymałości w sporcie pływackim, pływając pięćdziesiąt godzin a więc pobiła rekord, ustalony przez mężczyznę o 4 godziny.

W dalszym ciągu autor artykułu dowodzi, że kobiety współczesne mają inną strukturę kośćca, mają większe ręce i stopy niż panie z przed stu lat. Natomiast wśród mężczyzn spotyka się coraz częściej ociężałych tłuściochów. Ale i jeszcze coś. Kobieta współczesna podobno mniej kłamie. Dawniej musiało biedactwo kłamać, żeby cokolwiek wyłudzić od męża, musiało pochlebstwem i podstępem zdobywać dobra tego świata, teraz zaś walczy o byt śmiało i bez przyłbicy.

DOBRA GOSPODYNI

Indyk pieczony nadziewany. Oczyszczonego indyka nasolić odjąwszy podróbka, które można użyć na zupę lub na potrawę. Szyję wyciąć w ten sposób, aby pozostawić nieco więcej skóry przy podgarlu, którą należy oderwać ostrożnie palcem od piersi i nadziać farszem, jaki kto lubi, a potem zaszyć bawełną i piec na rożnie w piecu najpierw przy silnym, potem przy słabszym ogniu, polewając często masłem. Gdy już z wierzchu ładnie przyrumieniony postawić go na dole w piecu, aby i z pod spodu się zrumienił, a wydając pokrajać w odpowiednie kawałki.

Potrawa z pieczonej gęsi. Pokrajać gęś w kawałki, zasmażyć masła z mąką, rozprowadzić sosem od gęsi i paru łyżkami rosołu, dodać posiekanej cebuli, trochę cukru, octu, karmelu dla koloru, zagotować wszystko, włożyć w to gęś pokrajaną, gotować jeszcze cokolwiek i wyłożyć. Zamiast octu można wkrajać parę kwaśnych jabłek.

Kaczka w złotym sosie. Oczyszczoną kaczkę ugotować w krótkim smaku z włoszczyzną i korzeniami. Sos do niej przyrządzić w następujący sposób: łyżkę masła zarumienić z łyżeczka mąki, rozprowadzić rosołem od kaczki, dodać trochę octu cukru i karmelu, by sos nabrał złotego koloru, przecedzić przez sitko, dodać do niego rozmaitych marynatów, jak: korniszonów, kalafiorów i rydzów, zagotować razem, ułożyć kaczkę na półmisku i polać sosem. Można też w ten sos zamiast marynat włożyć rodzynki.

Gołebie pieczone nadziewane. Łyżkę masła należy utrzeć z dwoma żółtkami, dodać jedną bułkę namoczoną w mleku i dobrze wyciśniętą, trochę soli, łyżkę zielonej usiekanej pietruszki; z białek ubić pianę, wymieszać wszystko i nadziać tym farszem gołąbki i piec tak, jak poprzednie. Podając na stół, przekroić je na 2 części i polać masłem.

Ze świata

Kobieta jako juczne zwierzę

Na wyspach hebrydzkich na Pacyfiku, na północny wschód od Australii, żyje ród kobiecy istotnie w pożałowania godnym stanie. Wszystkie ciężkie roboty w polu i w domu, noszenie węgla i torfu, który jest prawie jedynym zarobkiem tamtejszej uboższej ludności, wszystkie ciężary codziennego życia spoczywają na barkach kobiecych. Mężczyzna przechodzi obojętnie do porządku dziennego nad pracą swej towarzyszki i zażywa spokojnie ciągłych wywczasów, paląc fajkę i patrząc leniwie w przestrzeń....

Gdy mężczyzna i kobieta przybędą razem nad brzeg rzeki, wówczas kobieta przenosi naprzód przez wodę ciężar, który dźwigała na plecach, a potem... swego męża. I dlatego to młody człowiek, który zamierza wybrać sobie towarzyszkę życia, poddaje naprzód dokładnej obserwacji tę, która wpadła mu w oko, badając przede wszystkiem, czy kobieta ta ma silne muskuły i szerokie, nadające się do noszenia ciężarów plecy. Wszystko inne jest rzeczą poboczną.

Powyższe pojęcia i stan rzeczy ilustruje wymownie anegdotka o pewnym starym kawalerze, który raptem postanowił zerwać z dotychczasowym samotnym trybem życia i wziąć sobie jakąś towarzyszkę. Gdy zdumiony tym jego przyjaciel zapytał go o powód nagłej zmiany zapatrywań, kandydat do małżeństwa odpowiedział ze szczerą prostotą: „Muszę tak uczynić, nima dla mnie innej rady! Wszak wiesz przecież, że ubiegłego tygodnia straciłem moje jedyne juczne zwierzę". Powyższa odpowiedź jest znamiennym świadectwem zapatrywań, jakie na wyspach hebrydzkich mają mężczyzni w stosunku do kobiet i do instytucji małżeńskiej.

Uzdrawiające ręce pielęgniarki

Od kilku miesięcy cały Budapeszt mówi tylko o młodej Węgierce, Incze. Niedawno jeszcze była ona nieznana nikomu. Niezwykłą swą popularność

zawdzięcza ta dziewczyna swym zdolnościom leczenia chorych. Pracuje ona w szpitalu przy placu Marii — Teresy. Codziennie poczekalnia tego zakładu zdrowia jest zapełniona chorymi, którzy pragną za wszelką cenę dostać się pod opiekę siostry Incze.

Pełni ona dyżur na sali nr. 24. Przed kilku miesiącami jeden z pacjentów w czasie zakładania mu opatrunku stwierdził, że w chwili dotknięcia rąk pielęgniarki, ciało jego przebiega prąd elektryczny. Działał on niezwykle kojąco na chorego. Po skonstatowaniu tego fenomenalnego zjawiska, wszyscy pacjenci poczęli prosić pielęgniarkę, by wodziła palcami po ich schorzałych i obolałych miejscach. Incze spełniała ich prośby i lekarze ze zdumieniem stwierdzili, że wszystkie rany i blizny znikają w błyskawicznym tempie.

W ciągu krótkiego czasu wyleczyła 500 chorych, którzy po opuszczeniu szpitala roznieśli sławę o cudotwórczych rękach pielęgniarki. Dziś tysiące cierpiących stoi u wrót szpitala błagając pielęgniarkę choć o jedno muśnięcie jej palców...

Śpiewające ryby

Mówi się ogólnie: „niemy jak ryba”, lecz, jak się okazało, powiedzenie to nie ma wcale uzasadnienia, ponieważ istnieją ryby wydające głos.

Rybacy szkoccy znają rybę, długą na pół metra, tłustą, która, gdy zostanie złowiona w sieć, wydaje okrzyk. Gdy do sieci dostanie się większa ilość ryb, panuje wcale duży harmider.

Na rybakach ten zbiorowy „krzyk” rybi nie wywiera żadnego wrażenia, natomiast, przybysz, który po raz pierwszy ma możność usłyszenia go, nie tylko jest zdziwiony, ale tak oszołomiony, że przez dłuższy czas nie chce wierzyć, aby był to istotnie „rybi krzyk”.

Mieszkańcy Ceylonu mają także niebywałą atrakcję. Żyją w morzu muszle, które podczas odpływu morza, przy spokojnej pogodzie — „śpiewają”. Słyszy się często, jak rozlega się długo trwający, delikatnie cieniowany, jakby dźwięk fletu. Ponieważ muszle nie posiadają gardła, dźwięki te wytwarzają swoimi skorupami. W jeziorach Nowej Gwinei żyją ryby, które wydają z siebie po 2 lub 3 tony.

Sen, który trwał 25 lat

Z Johannesburga w Afryce południowej donoszą o niezwykłym wypadku przebudzenia się po 25 latach ze snu kataleptycznego. W roku 1911 zmarł w pobliżu Johannesburga młody farmer afrykański. Narzeczona jego, 20-letnia Anna Swanepell, na wieść o zgonie ukochanego, zemdlała i zapadła w sen. Mimo zabiegów najlepszych lekarzy, nie udało się chorej przywrócić do przytomności. Dopiero w bież. roku, po 25 latach chora przebudziła się nagle. Anna Szwanepell sądziła po przebudzeniu, że żyje jeszcze w 1911 r. Z największym zadziwieniem dowiedziała się o przemianach zaszłych w międzyczasie na świecie. Lekarze otaczają chorą największą troskliwością, aby uchronić ją przed nowymi wstrząsami. Między innymi pod różnymi pozorami odmawiają podania jej lustra, nie chcąc, aby chora, która w czasie 25-letniego snu zupełnie osiwiała, a która mimo to wierzy, że ma wciąż jeszcze 20 lat, zobaczyła naocznie spustoszenia, jakie czas i choroby wywołały w jej urodzie z której kiedyś słynęła na całą okolicę.

Najbogatsza ulica świata

Nie jest nią — jak oświadczają dzienniki angielskie — ani londyńska Bond Street, ani też głośna Piąta Avenue w Nowym Yorku Czandi Czauk w mieście Delhi, w zakątkach bowiem jej składów jubilerskich i antykwariów przechowywane są skarby bezcenne. Znajdują się tam także pracownie, zajmujące się specjalnie szyciem z niezmiernie kosztownych, wysadzanych perłami, brylantami, szmaragdami i rubinami materiałów, szat dla maharadżów hinduskich, oraz nie mniej cennych, olbrzymich czapraków dla ich słoni ceremonialnych. Przez ręce robotników, pracujących w tych zakładach, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, przechodzą codziennie klejnoty, materie, złoto i srebro wartości dzisiątków tysięcy funtów szterl., to też dla zapobiegnięcia kradzieżom, wszystkie te materiały są skrupulatnie ważone przed i po pracy.

Lekcje gimnastyki w japońskich biurach

Międzynarodowy Komitet Igrzysk Olimpijskich uchwalił, że następne Igrzyska odbędą się w Tokio. Wiadomość tę przyjęto w Japonii z niesłychanym entuzjazmem. Ponieważ Japonia należy do państw, w których znaczenie ćwiczeń gimnastycznych dla zdrowia społecznego jest głęboko rozumiane, zabrano się więc w kraju Kwitnącej Wiśni z gorliwością tak cechującą Japończyków, natychmiast do przygotowywań, aby wystąpić godnie przed całym światem podczas zapowiedzianych igrzysk.

Między innymi zaprowadzono w biurach i fabrykach lekcje gimnastyki po skończeniu całodziennej pracy. Usuwa się wówczas meble z jednej z sal biurowych czy fabrycznych i wszystkie pracownice oraz pracownicy rozpoczynają ćwiczenia gimnastyczne pod kierownictwem wykwalifikowanych nauczycieli gimnastyki.

Skradziony naszyjnik

Pewnego słonecznego, pięknego dnia, pełnego wiosennych obietnic, Donnola spotkał się oko w oko z człowiekiem, uśmiechającym się doń sardonicznie i zrozumiał, że jego kariera jest skończona.

— Pan Harap, jeśli się nie mylę? — spytał go ironiczny głos, ale bardzo spokojny w tonie. Przydybałem cię, przyjacielu! Jest zgoła zbyteczne przypominać, jakie oskarżenie ciąży na panu, widzę bowiem, że masz przy sobie wszystko w walizce. Ponieważ stacja jest tu w pobliżu, proszę pójść ze mną.

Donnola wytrzeszczył oczy na pana, który go aresztował.

— Więc... pan należy do policji?

— Zdaje się... oto dowód.

Bazyl Harap, znany swym kolegom jedynie pod imieniem Donnola, wziął w rękę kartkę, którą tamten szybko wyjął z portfelu.

— Inspektor Douglas Drev — czytał — członek policji londyńskiej. — A niżej w kąciku: Urzędnik z Scotland Yard.

Donnola wsunął karteczkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Pojedziecie ze mną do Scotland Yard. Gdy nadejdzie pociąg z Londynu, wybierzemy pusty przedział, jeśli bogowie będą dla nas łaskawi. Ja znam tę szykowną zabawę wchodzenia do wagonu z jednej strony i wyskakiwania z drugiej. Nie będziesz pan chyba tak głupi, aby ze mną na to się puszczać... Czy pan pali?

Donnola wziął chciwie papierosa z papierośnicy, którą mu podano.

Zdawało się, że dla przedmiotów błyszczących posiadał bystre oko sroki. Chciwie obserwował każdy połysk złotej, cieńkiej papierośnicy, dopóki nie zniknęła w bocznej kieszeni inspektora Drev. Jeszcze i potem szelma nie przestawał o niej myśleć.

— To dziwne — mruknął w pewnej chwili i zdziwił się, że odezwał się głośno.

— Coś pan powiedział? — spytał Drev.

— Nic — odparł Donnola i uśmiechnął się.

Stało się, jak przewidywał inspektor. Było to wcześnie popołudniu i w pociągu z Londynu było niewielu pasażerów. Dwaj nasi bohaterowie mogli sobie wybrać pusty przedział i usadowili się w dwóch przeciwległych kątach.

Donnola starał się okazywać swobodę ale to mu się nie udawało.

— Dlaczego tak marszczysz czoło? Czy rozmyślasz nad tym, co się stało? — zapytał inspektor policji.

— Właśnie, panie inspektorze — odparł Basilio szybko.

— A może jesteś pan filozofem? — ciągnął tamten dalej, patrząc na błękitny dymek unoszący się z jego warg. Uśmiech jego był zagadkowy. Donnola obserwował go w skupieniu. — Dziwne to, co robicie, wy, złodzieje. Potykacie się zawsze o drobiazgi. W waszych najwspanialszych planach jest zawsze jakieś niedopatrzenie.

Z westchnieniem ujął małą skórzaną walizkę i położył ją sobie na kolanach.

— Zamknięta oczywiście. Proszę uprzejmie o klucz.

Zawartość walizki zabłysła przed szarymi oczami inspektora.

— Ślicznie! — mruknął. — Piękny łup dla króla kasiarzy. Hrabina Sunisfail będzie rada, że odzyska swą biżuterię. Nie często widzi się naszyjnik tak wspaniały, jak ten. — Wyciągnął skrzący się naszyjnik, a wspaniały klejnot w słońcu zdawał się nabierać życia.

— Cudowne. A potem te brylantowe kolczyki... Ale to powinno być Horscham. Zatrzymujemy się.

Szybko włożył klejnoty do walizki i zamknął ją. Dopiero wówczas spostrzegł naszyjnik, który położył obok siebie.

— Do djaska, zapomniałem o tobie, cudzie! — zawołał. — Musisz pozostać w mojej kieszeni, dopóki znowu nie ruszymy. I naszyjnik brzęknął o złotą papierośnicę. Pociąg się zatrzymał.

— Mało tu ludzi — zauważył inspektor.

W chwili, gdy inspektor wstał i podszedł do okna, mięśnie Donnoli naprężyły się.

— Szczególna rzecz, jak dobre interesy robią zawsze automaty — zauważył inspektor, wytknąwszy głowę przez okienko. — Sądzę, że to nasze instynkty przyczyniają się do ich powodzenia.

Przez chwilę przyglądał się ludziom, tragarzom, nawet dachom stacyjnym. Potem odwrócił się z uśmiechem, pełnym ciekawości.

Donnola zniknął pocichutku, a wraz z nim zniknęła i walizka. Drzwi pozostały otwarte.

Jak na inspektora policji, który pozwala więźniowi wymknąć mu się z rąk, człowiek, który się nazwał Douglasem Drev, pozostał dziwnie spokojnym. Zamknął znowu drzwi wagonu, zapalił papierosa i rozsiadł się w kącie z miną, pełną zadowolenia.

— Znowu mi się udało — szepnął uszczęśliwiony, gdy pociąg ruszył. — A przyjaciel Donnola nie zrobił mi żadnego kłopotu. Naszyjnik jest doprawdy piękny.

Wyjął go z kieszeni, przyjrzał mu się z upodobaniem i włożył go starannie do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Ten fortel podpatrzenia kolegi - złodzieja i udawania psa gończego, tropiącego jego ślady, jest doprawdy genialny — mówił do siebie głośno. — Z początku nie byłem pewien, czy mi się uda. Ale nie mogło pójść lepiej. W moim podstępie nie masz żadnej rysy. Przyjaciel Donnola, naprzykład skoro spostrzeże się, że został oszukany, nic zrobić nie może. Złodzieje nie idą na skargę z takimi sprawami. Im mniej Donnola ma do czynienia z policją, tem lepiej dla niego. Zresztą, zabrałem jedynie arcydzieło tej kolekcji. O, to wspaniały kurz!

Gdy pociąg stanął na stacji Vittoria, Rudolf Furnall, alias inspektor Drev był jeszcze w doskonałym humorze. Ten międzynarodowy złodziej uważał się za artystę. Czuł się dumny ze swoich metod i powodzenie upoiło go.

Jednak przy wyjściu czyjaś ręka nagle spoczęła na jego ramieniu. Odwrócił się i ujrzał przed sobą nieznajomego.

— Co za diabeł... — wybuchnął Furnall, zaskoczony.

— Jestem Drev, inspektor policji Douglas Drev, — rzekł tamten spokojnie. — Muszę was aresztować, Furnall, pod zarzutem dokonania rabunku drogocennnej biżuterii u hrabiny Sunisfail i...

Reszta słów inspektora zginęła w potoku gorących protestów ze strony Furnall'a.

— Ależ to wszystko oszczerstwo! — zawołał z dumą. — Ja...

Lecz przerwał nagle i zbladł śmiertelnie. Szybkim ruchem inspektor wyciągnął wspaniały naszyjnik z jego kieszeni.

— Wobec tego wszelkie słowa są zbyteczne — rzekł inspektor Drev wesoło. — Już dawno też nie pogardziłem informacją, otrzymaną od nieznajomego. Czy moglibyście poczęstować mię papierosem.

Złodziej mechanicznie wyciągnął z kieszeni złotą papierośnicę.

— Kto pana poinformował? — spytał z żywością. — Co pan chce przez to powiedzieć?

— Ach! — zawołał inspektor radośnie. Jego oczy spoczywały na błyszczącym przedmiocie, jaki tamten trzymał w ręku. — Widocznie mój informator powiedział mi prawdę. To dziwne, jak wy, złodzieje, gubicie się sami przez drobiazgi. Z próżności, sądzę. Widzicie, zatelefonowano mi do biura. Jakiś nieznajomy mówił z Horscham. Radził mu oczekiwać was przy tym pociągu, gdyż jest pewne, że to wy skradliście klejnoty hr. Sunisfail. Jego podejrzenie wzbudziła okoliczność, że tem podaliście mu imię nie wiem jakie, a monogram na waszej papierośnicy nosi inne litery. Czy mam założyć kajdanki, Furnall?

Złodziej spojrzał na litery R. i F., pięknie splecione na złotej papierośnicy, roześmiawszy się krótko, ale nie wesoło, włożył ją do kieszeni.

— Pójdę sam — rzekł, wzruszając ramionami.

A. B.

Kwaśna i niezadowolona przypatrywała się ona jednostajnie padającemu deszczowi przez zapocone szyby; bardziej jeszcze niezadowolone spojrzenie rzucała w stronę, w której naprzeciw niej siedziała w średnim wieku, bardzo słabowito wyglądająca dama z gustownym haftem w dłoni, nad którym z wielkim zapałem pracowała.

— Jestem przecież ciekawa, Anastazjo, zaczęła baronowa w podrażnionym tonie — jak długo jeszcze będziesz pracowała nad tą poduszką? Zdaje mi się, że musisz pruć w nocy to, co we dnie z ciężką biedą zrobisz, bo nic się nie posuwasz w robocie!

— Pani baronowa rozkazała, aby haft był bardzo starannie wykonany — odpowiedziała towarzyszka z pokorą — dlatego wykończenie zabiera tyle czasu.

— Te, te, te! — odcięła piękna pani niełaskawie na te wywody — podaj mi lepiej listę gości.

Anastazja podniosła się posłusznie i podała swej pani żądaną listę.

Baronowa zaczęła ją przeglądać z naprężoną uwagą, tylko, że się jej zły humor przez to wcale nie poprawił.

— Nie ma tu jeszcze ani jednego porządnego człowieka — mruknęła niechętnie. — Sami francuscy handlarze wina i kilka podupadłych austriackich familij; to jest wszystko, co tu dotychczas napotkać można.

Nie pojmuję dlaczego książę Iffalwi nie dotrzymał swej obietnicy i nie przybył tu z mną razem!

A baron Kotter, Lanee i hrabia Gröben? Gdzie oni się teraz obracają! Gdy nie mam wokoło siebie całej falangi swych wielbicieli, czuję się zdradzoną i sprzedaną!

Co to naprzykład za okropny czas, ten poranek dzisiejszy. Sam na sam z tą modną niewiastą! Żałuję prawie śmierci Wimpfena, bo gdyby żył, miałabym przynajmniej z kim się kłócić!

Po tym czułem wspomnieniu, poświęconym pamięci zmarłego małżonka, wstała Lola z kanapy i zapytała swej towarzyszki:

— Gdzie jest nowy romans Zoli? Czytaj mi go na głos.

Anastazja wyszukała żądaną książkę z całego stosu ksiąg i czasopism różnego rodzaju i zaczęła z niej na głos czytać francuzczyzną, po której znać było akcent niemiecki.

Baronowa usiadła sobie tymczasem przed toaletą i wpatrywała się z zajęciem w swój obraz w lustrze.

— Przecież opuściłaś pierwszy rozdział? — rzekła nagle do swej towarzyszki.

— Tak jak to zazwyczaj czynię, pani baronowo — potwierdziła Anastazja.

— Boże mój, nawet i ten Zola zaczyna być już nudny! — ziewnęła baronowa. — Wkrótce nie będzie już powieściopisarza, którego dzieła możnaby było czytać z zajęciem.

Przypuszczałam, że po ostatniej próbie, która mu się fatalnie nie udała, Zola się poprawi; ale otóż znowu książka, w której przedstawia uczciwą kobietę! Boże, jakie przewlekłe i nudne. To przechodzi już wszelkie pojęcia.

Przestań czytać Anastazjo i przyglądnij mi się dobrze. Czy nie uważasz, że mi się fałdy koło ust coraz bardziej pogłębiają?

— To się jaśnie pani tylko tak wydaje — pocieszała ją towarzyszka — pani baronowa zawsze jeszcze wygląda pięknie, młodo i kwitnąco.

Oświadczenie to uspokoiło baronową znacznie. Oglądnęła się raz jeszcze gruntownie w lustrze i w duszy przyznała słuszność swej towarzyszce. Uśmiechnęła się nieznacznie do siebie, ciesząc się ze swej urody.

— Jak myślisz, Anastazjo — rzekła, zwracając się łaskawie do nieszczęśliwej ofiary swych kaprysów — czy będziemy jeść przy ogólnym stole, czy każemy sobie przynieść jedzenie na górę i spożyjemy je swobodnie w naszym saloniku?

— Sądzę, że pani baronowej brak będzie towarzystwa i rozrywki — odpowiedziała Anastazja nadzwyczaj oględnie.

— Słusznie zauważyłaś, ale ci kramarze ze swoimi żonami nie tworzą towarzystwa, w którym ja bym się zabawić mogła — odparła Lola lekceważąco.

— Pani baronowa wyglądałaby między nimi jak królowa między swoimi poddanymi — schlebiała Anastazja.

Chodziło jej bowiem bardzo o to, aby jeść przy stole ogólnym, gdyż tam przynajmniej w spokoju spożyć mogła swój obiad, podczas gdy baronowa męczyła ją bezustannie rozmaitymi rozkazami i zleceniami gdy była z nią sam na sam.

To pochlebstwo towarzyszki nie pozostało bez skutku na próżnej i płochej kobiecie.

— Masz zupełną słuszność — odrzekła — po cóż bym się miała zamykać przez cały dzień w tym nudnym salonie, który w dodatku wygląda jak poczekalnia drugiej klasy!

Pójdę ubrać się ładnie, co samo już sprawi mi pewną przyjemność i rozerwie mnie trochę. Przy stole zaś będę miała dość sposobności szydzić sobie z całego towarzystwa i bawić się ich kosztem!

Chodź Anastazjo — zawołała — pomożesz mi trochę przy mojej toalecie, bo Frania robi ze mnie prawdziwego koczkodana.

To rzekłszy wyszła do drugiego pokoju, a Anastazja wsunęła się posłusznie za nią.

Zastały one Franię, garderobianę, zajętą przy licznej toalecie swej pani, którą przeglądała i do szaf znowu chowała.

Jakto, jeszcześ nie gotowa z wypakowaniem? — ofuknęła ją baronowa. Nie wiem doprawdy, coś robiła przez cały ranek. Jak można tak marnować drogi czas Boży!

Biedna dziewczyna, świadoma swej sumiennej pracy, oburzała się w duszy na niesprawiedliwe wyrzuty. Nie odważyła się jednak na odpowiedź, zobawy, by nie straciła intratnej służby.

Baronowa, która nigdy w życiu sama nic nie robiła, nie umiała też osądzić pracy innych i jak wszystkie kobiety tej kategorii, żądała bardzo wiele od swej służby.

Na jedno skinienie swej pani zaczęła Frania rozwiązywać liczne ciemno pąsowe kokardy, zdobiące kremowy negliż baronowy i włożyła na nią peniuar z kosztownych koronek.

Baronowa usiadła przed lustrem i przypatrywała się uważnie sztucznej fryzurze, którą jej panna układała.

W połowie pracy Frania przymilając się spytała:

— Jakby tę część włosów pani baronowej ułożyć?

— Jeszczem się nie zdecydowała — odrzekła baronowa. — Jak ty myślisz, Anastazjo?

— W wysokiej fryzurze pani baronowej cudnie do twarzy — schlebiała towarzyszka.

— Kiedy teraz już każda szwaczka tak się czesze, lekceważąco wtrąciła baronowa.

— Może spiąć włosy tylko w jeden grecki węzeł — zapytała Frania.

— Tak, bo wspaniały profil pani baronowej jeszcze lepiej w tej fryzurze sie uwydatni — podchwyciła Anastazja, która chciała skrócić w ten sposób tak nudna debatę.

— Kiedy grecki węzeł już mi obrzydł — nudziła baronowa — to tak wygląda, jakby się miało włosy spięte do kąpieli.

— Może fryzurę „a la Mozart" — zaproponowała Frania.

— A tak się młodo w tej fryzurze wygląda — dogadywała Anastazja, zawracając oczyma. — W tej fryzurze pani baronowa wygląda jak panienka.

Ale uwagą tą nie trafiła w sedno, bo baronowa odpowiedziała podrażniona:

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Przekładanka

P l a g a

— . — — —

— . — . —

— . . . —

— . . . .

. . . . .

Z podanego wyrazu utworzyć nowe wyrazy tak, by każdy następny różnił się od poprzedniego jedną literą w miejscu oznaczonym kropką.

Bilety wizytowe
pod. „Eros".

Genia Starfstok	Nika Stesit
Dzinla Krenka	

Odgadnąć zajęcie tych pań!

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 8 stycznia 37 r.

Rozwiązanie zadań z nr. 51 „Moich Powieści": „Dziesięć imion": 1. Marek 2. Aleksandra 3. Albert 4. Anna 5. Piotr 6. Zofia 7. Pankracy 8. Natalia 9. Bonawentura. Bilety wizytowe: Brazylijczyk, Amerykanin, Egipcjanin.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Halina Szałecka — Inowrocław, Bogumiła Ulikowska — Gostyczyna, Franciszek Wolniak — Toruń, Ed. Pilarczyk — Wadowice, Ula Wapniakówna — Poznań, Janina Walkowska — Gdynia, R. Jerzykowski — Kraków, Zbigniew Kotabiak — Nowy Targ.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Halinie Szałeckiej z Inowrocławia i R. Jerzykowskiemu z Krakowa.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

(1 **PRZEDRUK WZBRONIONY!**

Bettina Gerold stała przy narożnym oknie wspaniale urządzonej jadalni. Przystojna, postawna kobieta, uchodząca za czterdziestoletnią, z wyrazem napięcia biegła spojrzeniem poprzez szeroko się rozścielające trawniki ogrodu ku zabudowaniom fabrycznym firmy Fr. Herbig.

Była pora południowa. Przed paru minutami przeciągłe gwizdanie w fabryce zapowiedziało przerwę obiadową, a ...to fala ludzi wypływała szeroką bramą. Robotnicy i robotnice spiesznie dążyli drogą, wzdłuż parkanu ogrodu, okalającego dom właściciela fabryki Fryca Herbiga. Stary kawaler, mieszkał tu z owdowiałą siostrą Bettiną Gerold i jej jedynakiem Bernardem. Od ośmiu lat — od czasu swego wdowieństwa — Bettina zarządzała domem brata, który liczył obecnie trzydzieści ośm lat, a swych znajomych zapewniał z uśmiechem, że dotąd nie miał jeszcze czasu rozejrzeć się za towarzyszką życia.

Było to po części zgodne z prawdą. Herbig przed dziesięciu laty objął fabrykę po ojcu. Mieściła się ona w niskim domu, gdzie na kilku warsztatach tkano starą metodą tanie materiały na meble. Fryc był człowiekiem rzutkim, pełnym zapału i energii. Inaczej też pojmował prowadzenie przedsiębiorstwa niż jego chorowity, trwożliwy ojciec. I miał szczęście. W pięć lat po śmierci ojca wznosiła się już nowa olbrzymia fabryka, a starą przebudowano na m.ą, elegancką willę.

Zamiast czterdziestu robotników pracowało teraz czterystu w ogromnych widnych halach fabrycznych, a w sali rysunkowej o szklanym suficie artyści i artystki komponowali coraz to nowe wzory. Herbig starał się o modne desenie odpowiadające wymaganiom czasu i w krótkim czasie zdołał pozyskać pełne zaufanie swych licznych klientów i zdobyć dla swej firmy miejsce bardzo poczesne.

Pochłonięty pracą i ambitnymi planami związanymi z rozwojem fabryki, Herbig miał istotnie nie wiele czasu dla uroczego świata kobiet. A dzięki doskonałemu prowadzeniu domu przez siostrę, nie odczuwał też braku gospodyni. Bettina odgadywała wszelkie życzenia brata i spełniała je, zanim zostały wypowiedziane. Obok miłości siostrzanej działały tu także pobudki egoistyczne. Po śmierci męża, urzędnika państwowego, pozostała jej tylko pensja wdowia, która byłaby starczyła na bardzo tylko skromne utrzymanie, gdyby brat nie był ją i jej syna zabrał do siebie. Tu przyzwyczaiła się do życia w dostatkach i wcale nie pragnęła, by to się miało zmienić. Ponadto inne jeszcze i ważniejsze motywy kazały jej pragnąć, by brat pozostał kawalerem, i olbrzymi swój majątek przekazał jej synowi, którego kochała miłością bezgraniczną. Fryc musi się czuć tak dobrze w swym stanie kawalerskim, by mu nie przyszło na myśl pojąć żonę.

Do niedawna nie miała też powodu do niepokoju. Jeśli brat okazał czasem żywsze zainteresowanie dla której ze znajomych panien, Bettina potrafiła ją odsunąć na dalszy plan, lub zniechęcić go do niej zręcznie wplecionymi, niby to mimochodem rzuconymi uwagami.

Fryc dość rychło uświadomił sobie tę kobiecą grę dyplomatyczną, przyjmując ją z pobłażliwym uśmiechem. Żadna z jego młodych znajomych nie wzbudziła w nim gorętszego zainteresowania, któreby go skłoniło do przeciwstawienia się planom Bettiny.

Od paru jednak miesięcy pracowała w fabryce młoda zdolna rysowniczka, z którą, zdaniem Bettiny, brat spędzał za wiele czasu. Nie umiejąc sam rysować, Herbig miał ogromną pomysłowość. Nieporadnie kreślonemi szkicami podsuwał swym rysownikom oryginalne swe fantazje, które mieli wykonać.

Otóż od zaangażowania owej młodej rysowniczki, panny Marii Rottman, Herbig zwracał się najczęściej do niej ze swemi projektami. Ona najlepiej odgadywała jego życzenia, a trzymając się ściśle jego wskazówek, umiała je przetworzyć w sposób artystyczny. Sprawiało mu to wielką przyjemność i oszczędzało dużo czasu. Niekiedy zapraszał ją też na tego rodzaju konferencję w niedzielę przed południem od swojej willi. Stawiała się w willi tak samo punktualnie jak w fabryce, wysłuchała zlecenia, wykonała je i przedkładała mu szkic rysunku. Nigdy nie zamienili słowa, któreby się nie odnosiło do rysunków i spraw ściśle związanych z fabryką.

Po skończeniu roboty Maria Rottman uprzejmym ukłonem żegnała swego pracodawcę i odchodziła taksamo spokojnie jak przyszła. W całym jej zachowaniu było poczucie godności człowieka, świadomego swych zdolności i uczciwego wywiązywania się z obowiązków, a Herbig również traktował ją tak samo, jak każdego z urzędników, dla którego miał pełne uznanie.

Mimo to Bettina była mocno zaniepokojona i niechętnym okiem śledziła częste przebywanie brata z młodą rysowniczką.

Także w tej chwili badawcze jej spojrzenie i niechętnym okiem śledziła częste przebywanie brata z młodą rysowniczką.

Także w tej chwili badawcze jej spojrzenie szukało Marii Rottman. Od chwili ozwania się syreny zwiastującej południe, stała przy oknie, nie odrywając oczu od bramy fabryki.

Nagle na czole jej pojawiła się groźna zmarszczka, usta zacisnęły się, a w ciemnych oczach zamigotał niepokój. Z fabryki wyszedł właśnie brat, jeden z ostatnich, a obok niego, jak się tego obawiała, młoda rosła dziewczyna. Miała na sobie skromną, szarą spódnicę i białą gładką bluzkę, spiętą pod kołnierzykiem czarną kokardą. Na głowie biały słomkowy kapelusz opasany czarną wstążką.

Nie było nic uderzającego w tej skromnej postaci dziewczęcej, a ejdnak Bettina, jakby zamagnetyzowana, nie mogła od niej odwrócić niespokojnego spojrzenia.

Z jakim spokojem i godnością szła obok swego szefa, jak obok równego sobie pierwszego z brzegu kolegi. Zdawała się uważnie słuchać, co do niej mówił, a widocznie było, że jej coś tłumaczył, czy opowiadał.

Palce Bettiny bębniły w rozdrażnieniu po parapecie okna. Tak, przeszedł mimo furtki ogrodowej, wiadącej do willi i odprowadził ją do rogu ulicy. Tu dopiero przystanął, zdjął kapelusz w ukłonie i zawrócił.

Zirytowana odstąpiła od okna i podeszła do nakrytego stołu. Jeszcze raz objęła spojrzeniem trzy nakrycia. W roztargnieniu przesunęła kryształowe kieliszki, wygładziła śnieżnie biały obrus i z głębokim westchnieniem wyszła do przedpokoju przywitać brata. Na jego widok zmusiła się do miłego, swobodnego wyrazu twarzy.

— Dzień dobry, Bettino! Czy się spóźniłem? A może Bernard także jeszcze nie przyszedł?

— Tak, mój drogi, Bernarda jeszcze niema.

— Doskonale! W takim razie nie usłyszę besztaniny — rzekł ze śmiechem. Objął siostrę ramieniem i tak weszli oboje do jadalni. Ona się również zaśmiała.

— Tak, tak, braciszku, dobrze ci żartować, bo besztaniny nie słyszysz nigdy. W tem właśnie korzyść życia kawalerskiego. Wolno ci przychodzić i odchodzić, kiedy chcesz. Żona byłaby mniej pobłażliwa.

Fryc spojrzał na siostrę z uśmiechem dobrotliwej ironii. Dobrze wiedział, dlaczego przy każdej sposobności przypomniała mu dodatnie strony życia kawalerskiego. Mimo to był do niej głęboko przywiązany. Ale jeszcze serdeczniejsze uczucia żywił dla swego siostrzeńca, niezmiernie sympatycznego, pełnego temperamentu maturzysty, którego otaczał pieczołowitością kochającego ojca. Z czego jednak nie wynikało, by miał się wyrzec założenia własnej rodziny. Dotąd prowadził wprawdzie żywot kawalerski, jednakowoż wiedział, że rychło pojmie żonę i stworzy sobie własne ognisko. Tylko że dotąd nie spotkał jeszcze kobiety, którą pragnąłby uczynić towarzyszką swego życia. A im był starszy, tem bardziej stawał się wymagającym. Poza tym czuł się doskonale pod pieczą siostry.

Bettina rozwijała też w istocie niezwykłe talenty, by mu domostwo uczynić jak najbardziej przyjemnem. Posiłki były znakomicie przyrządzone i podawane z największą punktualnością, a każda potrawa dostosowana do jego smaku. Bieliznę i garderobę utrzymywała we wzorowym porządku. Gdy miał ochotę rozmawiać, umiała o wszystkich obchodzących go sprawach mówić rozumnie i zajmująco. Gdy był usposobiony do słuchania muzyki, siadała do fortepianu — a grała bardzo dobrze — i miękkim, dźwięcznym głosem śpiewała mu ulubione pieśni. Z oczu jego czytała, kiedy pragnie zupełnego spokoju, i wtedy okazywała się mistrzynią dyskretnego, a nie ciążącego milczenia. W dziennikach wyszukiwała artykuły, które go mogłyby specjalnie interesować i podkreślała najważniejsze ustępy, by mu ułatwić czytanie i zaoszczędzić czasu. Czyniła zadość wszystkim jego upodobaniom, odgadując każdorazowe życzenie. Ponieważ lubił miłe, niekrępujące życie towarzyskie, urządziła przyjęcia, znane z niezwykle sympatycznej atmosfery, promieniejącej od pani domu. Jednym słowem, nie zbywało mu na niczem, co może uprzyjemnić życie domowe.

Tak samo stosunek brata do swego syna ukształtowała z ogromnym taktem, jakkolwiek w tym kierunku mogła sobie zaoszczędzić zbytecznego trudu. Wuj i siostrzeniec darzyli się wzajem tak serdecznym przywiązaniem, że wszelkie wytyczne były niepotrzebne. Bernard Gerold z młodocianym entuzjazmem zachwycał się bezwzględnie swym wujem, uważając go za wzór doskonałości. W duchu postanawiał sprostować mu kiedyś, być równie dzielnym i mądrym, pełnym energji i świadomości celu.

A Fryc odpłacał siostrzeńcowi równą miarką, z ojcowską miłością otaczając żywego inteligentnego młodzieńca. Jego szczera uczciwa natura, w której czytał, niby w otwartej księdze, napełniała go głęboką radością. Ze zrozumieniem dyktowanem przez miłość kierował jego rozwojem, nie krępując go zbytnio, by mógł się rozwijać swobodnie bez więzów przymusu. Przedewszystkiem rozbudził w nim już w latach chłopięcych poczucie odpowiedzialności i silną wolę. Mimo różnicy wieku obcował z nim jak z przyjacielem, z mądrą oględnością, kierując nim w ten sposób, by sam znalazł właściwą drogę nie zatracając samodzielności i nie używając sił na błądzeniu po omacku.

Bettina pragnęła, by Bernard wstąpił do fabryki wuja, ale syn nie miał ochoty poświęcić się zawodowi kupieckiemu. Nie śmiał się atoli sprzeciwiać matce, a przede wszystkiem lękał się jej łez i wyrzutów. A wiedział dobrze, że ogromnie jej zależy, by razem zastosował się do jej życzenia.

— Bernardzie, jestem pewna, że wuj sobie tego życzy i uważa to za rzecz naturalną — mówiła. Nie mogła mu oczywista powiedzieć, że to ona właśnie widzi w nim przyszłego właściciela firmy Herbig i dlatego pragnie go przygotować do tego stanowiska. Z tym swoim planem nie zdradziła się nigdy ani słówkiem, gdyż wiedziała, że pod tym względem nie może liczyć na zrozumienie syna. Te swoje plany i nadzieje musiała więc osłaniać tajemnicą.

Wobec tego jednak, że nietylko nie czuł powołania do kupiectwa, ale gorąco marzył o innej karierze, i był zdecydowany po złożeniu matury wstąpić na politechnikę, pewnego dnia postanowił się rozmówić z wujem. Wszedł do tego gabinetu po obiedzie, kiedy Fryc Herbig pozwalając sobie na półgodzinny odpoczynek, leżał na kanapie przerzucając dzienniki. Stale o tej porze Bernard zwracał się do niego z najrozmaitszemi prośbami. Siadał obok leżącego na kanapie i tak długo kołysał się niespokojnie w fotelu, aż wuj ze śmiechem odłożył gazetę. Tej samej metody trzymał się i tym razem. I jak zawsze, okazała się skuteczną. Herbig odłożył gazetę, przez parę sekund badawczo przyglądał się swemu pupilowi, poczem rzekł z uśmiechem:

— I cóż, chłopcze? Co ci tak ciąży na sercu?

Bernard przestał się kołysać i swymi szczerymi oczyma spojrzał na wuja.

— Wuju, powiedz mi proszę, czy naprawdę ci tak bardzo zależy, bym został kupcem?

— Któż ci to powiedział, że mi na tem zależy?

— Mama — to się rozumie. Chce koniecznie, bym po maturze wstąpił do twojej fabryki. Czy naprawdę ci na tem zależy?

Herbin się uśmiechnął.

— Zdaje mi się, że projekt ten niezbyt cię zachwyca, he?

Bernard znów zaczął się kołysać w fotelu.

— Wuju, najpierw mnie należy się odpowiedź na pytanie, gdyż pytałem pierwszy.

Herbig zaśmiał się w głos.

— Racja. Ale przede wszystkiem przestań się kołysać, inaczej dostanę choroby morskiej i nic z całej rozmowy. Tak! Otóż posłuchaj: O ile ci chodzi o mnie, to możesz zostać szewcem, krawcem, stolarzem, jednym słowem, czem zechcesz, abyś tylko kochał swe zajęcie i spełniał je jak należy. Obierz sobie zawód, do którego czujesz się powołanym, po którym przyrzekasz sobie, że da ci radość i zadowolenie, a uczynisz wybór dobry i spełnisz moje życzenie.

Bernard zerwał się z fotelu i z miną poważną stanął przed Herbigiem.

— Wuju, skoro mi pozostawiasz wolność wyboru, to proszę, pozwól mi zostać inżynierem i budować maszyny. Tak ogromnie pociąga mnie praca w wielkich fabrykach maszyn. Przed kilku dniami oglądałem koło dworca kolejowego nową lokomotywę. Ach, wuju, nie masz pojęcia, jakie to wspaniałe! Jak te wszystkie części poruszały się precyzyjnie i sprawnie, jak jedno ściśle łączyło się z drugiem. Wiesz, patrzyłem i patrzyłem i nie mogłem oczu oderwać od tego cudu rozumu ludzkiego. Najwyższym mojem marzeniem budować takie maszyny, tylko jeszcze lepsze i jeszcze piękniejsze. Czy mnie rozumiesz?

Herbig z upodobaniem przyglądał się smukłemu młodzieńcowi o świeżej, inteligentnej twarzy, rozpromienionej w tej chwili gorącym zapałem.

— Mój drogi, czy zdarzyło się już kiedy, bym cię nie rozumiał?

— I nie masz nic przeciw temu?

— Przeciwnie, bardzo jestem kontent z tego wyboru.

Bernard odetchnął głęboko.

— Bogu dzięki, ale już w następnej chwili promienna jego twarz spospępniała.

— Ach, ale co powie mama? Jestem przekonany, że zacznie płakać i będzie mi dowodzić, że zrobiłem ci przykrość.

Herbig położył rękę na ramieniu siostrzeńca.

— Nie troszcz się o to — rzekł uspakajająco. — Już ja to załatwię z matką, gdy do tego dojdzie. Narazie myśl tylko o tem, by jak najlepiej złożyć

egzamin dojrzałości, a potem pomówimy. Skoro tylko my „mężczyźni" osiągnęliśmy porozumienie, to nie masz potrzeby trapić się dłużej.

Od owej rozmowy wuj i siostrzeniec jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli, obcując z sobą jak dwaj przyjaciele i rówieśnicy. A Bettina z radością i dumą macierzyńską śledziła ten stosunek, nie przeczuwając, że poza jej plecyma ci dwaj knują plan przeciwny jej zamiarom...

W parę minut po wyjściu Herbiga z siostrą do jadalni nadszedł też Bernard Gerold. Zobaczywszy w oknie wuja i matkę, czekających na jego przyjście, zerwał z głowy kolorową czapeczkę studencką, złożył ukłon, poczym przeskakując po kilka schodów, jak wicher wpadł do przedpokoju. Jego piękna ogorzała twarz, teraz już zdradzająca wyraz niezłomnej energji, promieniała zdrowiem i radością. W parę sekund później wszyscy troje zasiedli do obiadu.

— Aha, mam dziś dla was miłą wiadomość. Za dwa tygodnie przypada dziesiąta rocznica objęcia przeze mnie fabryki. Pomyślałem, że należałoby ten dzień upamiętnić jakąś zabawą dla robotników i personelu urzędniczego, przy czym liczę na twoją pomoc, Bettino. Masz przecież specjalny talent urządzania tego rodzaju wielkich przyjęć.

— Z całą chęcią, mój drogi — odrzekła. — Możesz na mnie polegać. Powiedz mi tylko w przybliżeniu, o co ci chodzi, a postaram się urządzić wszystko ku twemu zadowoleniu.

— Bettino, jesteś nieoceniona, prawdziwa perła. Otóż posłuchaj, jak ja to sobie wyobrażam. Popołudniu urządzimy w wielkim ogrodzie przedmiejskim zabawę z karuzelem, loterją fantową, strzelaniem do celu i innemi tego rodzaju rozrywkami. Obmyślenie programu pozostawiam twojej fantazji. Następnie przy kilkunastu stołach podawać się będzie nieskończoną ilość kawy i ciast. Wieczorem, gdy matki odprowadzają już do domu swoją dziatwę, będzie kolacja, a po niej jako punkt najbardziej atrakcyjny: muzyka i tańce. Proszę cię, Berto, nie bądź tym razem oszczędną gospodynią i popuść wodzów znanej swej gościnności. Bilans tegoroczny wypadł tak świetnie, że można sobie pozwolić na wypadek nadzwyczajny. Loterję musisz urządzić w ten sposób, że bilety będą bezpłatne ,a co drugi wygrywa. Chcę, by każdy zabrał do domu kilka pamiątek. W tem może ci być pomocy Bernard. A panie rysowniczki obejmą nadzór nad dziećmi, by matki ich mogły się swobodnie oddać zabawie. Mówiłem już o tem z panną Rottman, jako z najrozsądniejszą z nich wszystkich.

W Bettinie zerwał się nagły odruch zazdrości, że Fryc mówił z Rottmanówną o swym planie wcześniej niż z nią. Ale Bernard był bezwzględnie zachwycony.

— Mamusiu, musisz mi wyznaczyć miejsce obok panny Rottman. Nadzwyczajna dziewczyna, a piękna jak obraz.

Z butną miną pogładził górną wargę, gdzie zaczął widnieć jakiś meszek późniejszego zarostu. Fryc Herbig zaśmiał się w głos.

— Chłopcze, taki to z ciebie ptaszek?

Bettina z trudem hamowała gniew.

— Bernardzie, proszę cię, daruj sobie podobne dowcipy. Przy tem, panna Rottman nie jest nawet ładna.

— Co do tego, to muszę się mamusi stanowczo sprzeciwić. Wuju, powiedz, czy nie jest nietylko ładna, ale nawet piękną, z temi wspaniałemi oczyma i cudnemi warkoczami?

— Ależ Bernardzie! — wykrzyknęła Bettina zirytowana, nie mogąc już dłużej hamować irytacji.

Herbig z pobłażliwym uśmiechem patrzył w jej twarz, zapłonioną od gniewu.

— Bettino, wiesz przecież, że gusty są rozmaite i niema się o co spierać. My, mężczyźni, mamy wydać inne wymagania co do urody kobiecej. Wyznaję zresztą, że jeszcze sobie nie zdawałem sprawy z powierzchowności panny Rottman, ale zrobię to przy najbliższej sposobności, chociażby dla poznania gustu Bernarda.

Bettina była przerażona, że rozmowa przybrała zwrot tak bardzo dla niej niepożądany. Nie mogła się jednak zdradzić z tem swojem uczuciem.

— Uważam, że w stosunku do takich panien należy zawsze zachować pewien dystans, inaczej stają się łatwo natarczywe.

— Och, ze strony panny Rottman nie można się tego obawiać. To dziewczyna bardzo dystyngowana i z dobrej rodziny. Ojciec jej był majorem, a matka jest kobietą bardzo taktowną i subtelną.

— Znasz jej matkę?

To pytanie, zdradzające bezwiednie cały niepokój Bettiny, wywołało na jego twarzy przelotny uśmiech.

— Tak, znam ją. Kiedy angażowałem córkę, przyszła z nią do kancelarii.

Powieki Bettiny drgnęły nerwowo.

— Och, nie wiedziałam o tym zwyczaju. Zwykle panie, szukające posady przychodzą bez towarzystwa.

— Niewątpliwie. Ale te panie przybyły z innej miejscowości, więc pani Rottman towarzyszyła córce, by odrazu wynająć w naszem mieście mieszkanie. Odtąd mieszkają razem, a o ile mi wiadomo, panna Rottman przyczynia się głównie do utrzymania domu, gdyż matka jej, jako wdowa po majorze, pobiera tylko skromną pensyjkę. Oto wszystko, co mi wiadomo o prywatnych stosunkach tej mojej rysowniczki, notabene najzdolniejszej z wszystkich. Jeśli cię interesują jej losy, to mogę się dowiedzieć bliższych szczegółów — dodał na pół żartem, na pół ironicznie.

Bettina wykonała żywy gest protestu.

— Och nie, dziękuję. Wogóle, możemy już przejść do innego tematu. Powiedz mi naprzykład, o której godzinie ma się rozpocząć ta zabawa i w którym ogrodzie mam wynająć pawilony i wszystko inne.

W ten sposób skierowała rozmowę na inne tory.

Ale popołudniu Fryc Herbig zatrzymawszy się w sali rysunkowej przy stole panny Rottman, przypomniał sobie rozmowę z siostrą. I po raz pierwszy spojrzał na rysowniczkę oczyma nie szefa, lecz mężczyzny. I musiał przyznać, że jego siostrzeniec nie dopuścił się przesady, mówiąc to, jest „piękna jak obraz". Tak, istotnie ma urodę bez porównania bardziej interesującą niż inne młode osoby z kół towarzyskich, z któremi obcował, że w uśmiechu jej, jakkolwiek rzadko się pojawiającym, jest nieuchwytny jakiś czar, że jej smukła kształtna postać jest pełna wdzięku i szlachetnej prostoty, a ogromne głębokie oczy i bujne warkocze są istotnie niezwykle piękne.

W tym samym czasie Bettina łamała sobie głowę, jakim sposobem ustrzec brata przed niebezpiecznym urokiem Marji Rottman.

* * *

W kilka dni później Herbig jak zwykle wypoczywał po obiedzie na sofie, przerzucając gazetę, gdy wszedł Bernard i starym zwyczajem usiadł obok niego.

Herbig natychmiast odłożył gazetę i spojrzał zachęcająco na siostrzeńca.

— A zatem, mój młody przyjacielu, co usłyszę nowego? Z miny twojej wnoszę, że chcesz mi się zwierzyć z czegoś bardzo przyjemnego.

Bernard żywo przytaknął ruchem głowy.

— Odgadłeś, wuju. Naprawdę, chcę ci powiedzieć coś bardzo przyjemnego. To znaczy... bardzo przyjemnego dla mnie!

— Więc śmiało! Przecież to wogóle twoja godzina zwierzeń.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

(13)

Niebezpieczny Gość

Powieść

Na samą tę myśl serduszko prędzej bić zaczyna. Oblewają ją jakieś gorące fale... usta ją palą... Poczuła nieodparte pragnienie przytulenia się do piersi swego Zdzicha...

— Być jego? — wróciła do przerwanych myśli. — Móc przytulić się do ukochanego, czuć ciepło jego młodego ciała i móc całować jego usta?... O, czy on wie, że to jest i jej pragnieniem? Czy wie jaka była szczęśliwa w jego młodzieńczym objęciu?... Kocha go również gorąco, ale chce, aby i on należał wyłącznie do niej. Bo ona już dawno nazwała go swoim Zdzichem...

Głośny szmer, jaki dobiegł jej uszu, zerwał słodką złudę rozmarzonej wyobraźni. Janka uniosła się nieco, chcąc się odwrócić, gdy w tem ktoś podszedł szybko z tyłu do ławeczki i przysłonił ciepłymi dłońmi jej oczy.

— Zdzich! — zawołała, śmiejąc się, że mie udało się mu jej zaskoczyć. — To ty... Widziałam cię idącego w tę stronę...

Zamiast odpowiedzi odczuła na swej twarzy gorący, przyspieszony oddech i, zanim zdążyła ze swych oczu odjąć ręce przybyłego, ten pocałował ją w szyję.

Nie krzyknęła, ale bardziej jeszcze przechyliła się przez poręcz ławki i przytuliła głowę do męskiej marynarki w szalonem zapamiętaniu budzących się zmysłów.

— Panno Janino, najdroższa... ja panią kocham...

Ten drżący, rozdygotany szept wrócił jej przytomność. Wielki Boże! Ten głos...? To nie był Zdzich. Komu więc ona pozwoliła się pocałować?

Zerwała się gwałtownie, ruchem tym odpychając zuchwalca. Odwróciła się szybko oburzona, z płonącymi gniewem oczyma, groźna. Ale napastnika już nie było.

Uciekł...

Kto to był?!

Przez okamgnienie mignęła się jej gładka wygolona twarz i czarne włosy. Więcej nie zdążyła zobaczyć. Zakryła go gęsta zieleń. Ponadto osądziła, że musiał być wysokiego wzrostu.

Zastanowiła się na moment. Nie Zdzisław — więc kto? Niewątpliwie musiał być ktoś z mieszkańców willi. Obcy nie odważyłby się wejść o tej porze do ogrodu. Ale kto?... Ten miał twarz gładką i był brunetem. Brunetami są Tulczyński i lokaj Franciszek. Ale literat twarz ma pokrytą zarostem, więc to chyba nie mógł być on. Pozostał tylko Leśniczak... Jeszcze przypominały się błyszczące oczy lokaja, jakimi ogarnął jej postać, kiedy na chwilę znaleźli się sami w pokoju. Jego zachowanie już wtedy wydawało się jej mocno podejrzane...

Więc miałżeby to być Franciszek?... I on śmiałby...? On śmiałby...?

Jance krew uderzyła do głowy. Drżącą ręką przeciągnąwszy po wzburzonej twarzyczce, spojrzała przerażona przed siebie. Nagle zbladła jak ściana.

Nawprost ławki stał Zdzisław. Wyprostowany, z ponurym wyrazem na bezkrwistej twarzy. Patrzył na nią szeroko rozwartymi oczyma, w których malowało się przerażenie, niedowierzenie, rozpacz...

Straszny niepokój szarpnął sercem Janki.

— Zdzich — wyszeptała, wyciągając do niego ręce.

Drgnął. Spojrzał na nią jakimś dziwnym, jakby obłąkanym wzrokiem i — nagle, nie wyrzekłszy ni jednego słowa, zawrócił w miejscu i począł się oddalać.

Janka skamieniała na sekundę. Uczuła nagle, że zimny dreszcz przeszedł ją od stóp do głowy. Zrozumiała, że Zdzisław widział jak całował ją obcy mężczyzna i tłumaczył to sobie fałszywie. Szalony ból przeszył jej serce na myśl, że Zdzisław tak mało jej ufa, że — dając wiarę nikłym pozorom — osądził ją tak niesprawiedliwie. Osłupiała na myśl, że w tej chwili może stracić go na zawsze.

— Zdzich! — zawołała rozpaczliwym głosem. — Zdzich, posłuchaj tylko...

Zawahał się przez ułamek sekundy, ale nie przystanął. Nieszczęsny! Gdyby choć obejrzał się raz tylko, możeby zastanowiła go śmiertelnie blada twarzyczka dziewczyny, oraz wyraz jej oczu, w tej chwili szeroko otwartych z przerażenia. I napewnoby zawrócił. Ale on, jakby właśnie obawiając się tego, przyspieszył jeszcze kroku.

Szedł naoślep przed siebie, nieprzytomny prawie z rozpaczy, siłą tylko wstrzymując się od jęku, który rwał mu się gdzieś z samego ośrodka życia. W głowie szumiało mu coraz bardziej, wir unosił myśli w coraz szersze kręgi chaosu.

— Boże, ja oszaleję! — wykrztusił wreszcie przez zaciśnięte zęby. — Ona mnie zdradziła... Widziałem przecież... Tuliła się do obcego mężczyzny... I on całował Jankę... moją Jankę!

Żywiołowa zazdrość przeważała w nim w tej chwili nad wszystkimi innymi uczuciami.

Ach, bo on tak był pewnym wierności Janki. Kochał ją szalenie i ufał bezgranicznie. A ona?... Nie, to niepodobna! Oszalał chyba! Ona miałaby go zdradzić?... Po tylu zapewnieniach dozgonnej miłości i wierności? Po tylu pocałunkach?... A jednak to jest szkaradna, nielitościwa rzeczywistość. Widział przecież dobrze... Zatym wszystko między nimi skończone! Miłość jego stracona na zawsze... na zawsze.

— I to ona...? Ona?...

Przystanął gwałtownie. Znajdował się nad samym brzegiem jeziora. Jeszcze dwa kroki, a znalazłby się w chłodnych objęciach fal... Popatrzył dziko w lustrzaną powierzchnię wody.

A może lepiej byłoby, gdyby...

Odszarpnął się w tył gwałtownie. Zdjął kapelusz i dłoń drżącą położył na mokrym czole.

Boże! Jakie szalone myśli przychodzą mu do głowy. Zwarjował chyba. Bo czy do niego należy jego młode życie? Czy on może niem rozporządzać?... Szaleńcze! Bóg tylko ma prawo przeciąć pasmo dni twej męki. Jedynie Bóg!

Opuścił głowę na piersi i powlókł się do lasu. Tam opadł ciężko na pień ściętej sosny i, ukrywszy twarz w dłoniach, pozostał tak bez ruchu. Opłakiwał swą tak nagle straconą miłość...

Po chwili jednak zerwał się na nogi i drżącą ręką wyjąwszy z zanadrza portfel, dobył z niego fotografię pięknej dziewczyny. Było to zdjęcie jego Janki... Płonącymi oczyma wpatrzył się w giętką postać dziewczyny: — Co za podstawa! Co za wspaniałe linie postaci!! — Objął wzrokiem jej białe, toczone ramiona, twarzyczkę okoloną puklami jasnych włosów, słodkie, trochę figlarne oczy i rozchylone w uśmiechu usteczka, które wczoraj jeszcze całował... Ta czarowna istota miała należeć do niego, gdy teraz... teraz...

Fotografia wypadła z drżących rąk i ześlizgnęła się na murawę. Zdzisław chwycił się za głowę, a pierś jego bólem ściśniona z jękiem wyrzuciła ten okrzyk:

— A jednak ja ją tak kocham!

Oprzytomniał na dźwięk swego głosu. Obejrzał się, kilkakrotnie przecierając ręką oczy. Podniósł potem z ziemi fotografję, przycisnął ją do ust i — zawrócił do willi „Aurory"!

A — Janka?

Stała w miejscu jakby zmartwiała. Ostatnia kropla krwi spłynęła z jej twarzyczki, rozszerzone oczy z osłupieniem wpatrywały się w oddalającą się postać młodzieńca. Zdzich odchodził. Nie posłuchał jej. Uwierzył pozorom i... potępił ją ach, jak niesprawiedliwie. Nawet nie pozwolił jej wytłu-

płaczyć się. Tylko spojrzał na nią zimno i oddalił się, nie raczywszy odezwać się do niej.

— Jak on mógł — szepnęła trzęsącymi się nerwowo ustami. Jak on mógł...

Chwiejnym krokiem udała się do swego pokoju i tam bez sił opadła w fotel. Przytuliła głowę do zimnych rąk i zalała się łzami.

O, jakżeby zdziwiła się Irena, gdyby tak weszła w tej chwili do pokoju i zobaczyła Jankę płaczącą — ją, która przed godziną była jeszcze tak wesoła i promieniejąca szczęściem. A teraz Janka była nieszczęśliwa, tak nieszczęśliwa, jak nigdy i to z winy swego narzeczonego.

Rozdział VII.

NA TROPIE

Irena starała się opanować zdenerwowanie. Ktoby widział ją chodzącą po gabineciku Janki z mocno przybladłą twarzyczką i zmarszczonymi brewkami, ten domyśliłby się łatwo, że jest wzruszona i dziwnie niespokojna. Często spoglądała na zegar, a w miarę jak posuwały się jego wskazówki, na białym czole dziewczyny coraz wyraźniej rysowała się poprzeczna fałda. Wreszcie westchnęła głośno i podeszła do okna, a wzrok jej wybiegł na drogę prowadzącą do wsi...

Irena wypatrywała młodego dziennikarza. Wprawdzie dotychczas starała się zawsze go unikać, bo — jak powiedziała Jance — nienawidziła Kazimierza Szperackiego. Było to jednak grubą przesadą. Prawdę mówiąc, drażniły ją docinki dziennikarza i jego ironiczne uśmieszki. Nie taiła tego przed nim. Raz nawet, rozdrażniona uwagami Kazimierza, nazwała go impertynentem i powiedziała mu otwarcie, że go nie cierpi, jak wogóle nie cierpi indywidualistów. Posprzeczali się wtedy. I tak było do ostatniego spotkania.

Ale teraz było inaczej.

Pocałunek, wyciśnięty na jej dłoni, wywołał w niej radykalną zmianę uczuć i zarazem zmianę taktyki. Zrozumiała bowiem, że postępowanie młodego dziennikarza nie jest tak „nieznośne", jak sądziła, że tylko pozornie traktował ją dotąd z „żartobliwego tonu". Zrozumiała, że mimo wszystko, nie jest mu zupełnie obojętną. Ostatnio był dla niej niezwykle serdeczny, a jego czarne oczy patrzyły na nią z tak dziwnym wyrazem, że serduszko jej mimowoli poczynało prędzej uderzać.

Rozpamiętywając teraz wszystkie szczegóły ostatniego spotkania, Irena rzucała długie spojrzenia na prowadzącą do wsi drogę, spodziewając się lada chwila ujrzeć znaną sylwetkę młodzieńca, zdążającego do willi „Aurory". A kiedy na drodze nikt się nie ukazywał, dziewczynę ogarniał dziwny niepokój. Kazimierz nie przychodził, pomimo, że ona pragnęła tego gorąco. Irena dziwiła się niezmiernie, że on nie wyczuł intuicją, że ona oczekuje go niecierpliwie. Mówią przecież, że drogie sobie istoty mogą zrozumieć się nawet na odległość...

Nie mogąc jednak doczekać się pożądanego gościa, wybiegła do ogrodu, a stamtąd do parku, przechadzając się pomiędzy drzewami, zatonęła w myślach.

Ocknęła się dopiero wtedy, gdy odczuła, że ktoś stanął przy niej. Podniosła szybko oczy i wydała okrzyk zdziwienia, czy radości. Przed nią stał... młody dziennikarz.

W pierwszej chwili, idąc za prądem serca, Irena wyciągnęła do młodzieńca obie ręce, lecz zaraz potem, mocno zawstydzona, usiłowała je cofnąć. Ale było już zapóźno. Kazimierz uchwycił jej ręce i uwięził w swoich.

— To pan?... — przemówiła zmieszana. — Ach, jak to dobrze, że nareszcie pan przyszedł...

Kazimierz spojrzał na nią przeciągle. Zdziwiło go tak serdeczne przywitanie. Chcąc ukryć błysk swych oczu, pochylił się i ucałował ręce dziewczyny.

Lekki rumieniec przesunął się przez twarzyczkę Ireny.

— Pani mnie oczekiwała? — wyrzekł dziwnie miękkim głosem. — O, gdybym ja wiedział...

Bezwiednie silniej ścisnął małą rączkę, spoczywającą nadal w jego dłoni.

Irena się uśmiechnęła.

— Pan nie wiedział, jak niecierpliwie go wyczekiwałam? A ja myślałam...

— Co pani myślała?...

— Przed kilkunastoma minutami pragnęłam, aby pan tutaj przyszedł. Pragnienie to było tak silne, że byłam przekonana, iż za chwilę już ujrzę pana zdążającego do willi „Aurory". Sądziłam bowiem, że myśli moje falami eteru dopłyną do pana...

— Może też dopłynęły — uśmiechnął się zdawkowo Kazimierz. — W każdym razie przyszedłem i jestem na rozkazy pani i panny Janki.

— Jak?... Ach, Boże! Pan chyba nic jeszcze nie wie... Dlaczego pan wczoraj nie przyszedł?

Teraz dopiero spostrzegł, że dziewczyna wygląda mizernie. Twarzyczka jej była niezwykle blada, a oczy podkrążone, zapewne skutkiem nieprzespanej nocy. Zaniepokoił się.

— Co się stało? — spytał.

Irena nie odpowiedziała, lecz usta jej poczęły drżeć, jak u osoby tłumiącej łkanie.

Kazimierz popatrzył na nią badawczo i naraz oczy mu pojaśniały, a na twarzy odmalowało się wzruszenie. Wziął dziewczynę przemocą za ręce i rzekł z ustami niemal przy jej ustach:

— Pani płacze? Dlaczego? Co pani jest?... Panno Iruśko, mnie pani powinna powiedzieć. Pani wie, że ja bardzo... ja dla pani...

— Janka... biedna Janka — łkała cicho Irena. — Gdyby pan wiedział, jak ona się martwi...

— Co się stało pannie Krańskiej?

— Gdybym choć to wiedziała... Ale ja nic nie wiem. Janka nic nie chce powiedzieć. Płacze tylko i powtarza ciągle, że wszystko już skończone pomiędzy nią, a panem Zdzisławem...

— Pogniewali się?

— Mnie się zdaje, że między nimi zaszło coś bardzo ważnego. Niech pan posłucha...

Irena zaczęła opowiadać swoje spostrzeżenia: Wszystko musiało stać się wczoraj popołudniu, gdyż wczoraj już Janka nie zeszła na kolację. Powiedziała przez Melanię, że boli ją głowa... Zdziwiło to wszystkich, tembardziej, że i Zdzisław był nieobecny przy stole. Uprzedził pana Krańskiego, aby nie czekano na niego z wieczerzą, gdyż wychodzi i wróci dopiero późnym wieczorem. Zaniepokoiło to przede wszystkiem Irenę, gdyż przeczuwała, że pomiędzy zakochanymi coś zajść musiało. Zaraz też pobiegła do gabinetu kuzynki. Zastała Jankę zmienioną: była bardzo blada, przygnębiona i zapłakana. Na pytanie: co się jej stało, Janka nie chciała nic powiedzieć ponad to, że spotkała ją wielka przykrość ze strony pana Donieckiego i że już wszystko skończone pomiędzy nią, a panem Zdzisławem. — Pan Doniecki również zmienił się bardzo. Wygląda jak, gdyby cierpiał okropnie. A dzisiaj nie wyszedł wcale ze swego pokoju...

Kazimierz słuchał uważnie, a w miarę opowiadań dziewczyny twarz jego pochmurniała.

— Więc znowu jakieś nieporozumienie — rzekł. — Czy pani wie, że panna Janina i Zdzisław są już po słowie?

Irena skinęła potakująco.

— Domyślałam się wszystkiego po części. Wiedziałam, że kochają się gorąco. A teraz takie zmartwienie!...

Dziennikarz zacisnął pięści, a w oczach zamigotały mu groźne błyski, nie wróżące nic do-

brego dla sprawy cierpień panny Krańskiej. Irena jednak nie widziała tego.

— Tak mi żal Janki — mówiła drżącym ze wzruszenia głosem. — Gdyby pan wiedział, jak ona się martwi... Całą noc nie zmrużyła oka i teraz chodzi jak nieprzytomna. Jeszcze wczoraj rano była taka szczęśliwa... rozradowana, a teraz...? Boję się o nią... boję się, aby z rozpaczy nie popełniła jakiego szaleństwa...

Podniosła na młodzieńca łzami zalane oczy i złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Wiem, że jedynie pan może tu coś poradzić. Dlatego też tak niecierpliwie oczekiwałam pana. Bo pan jest dobrym psychologiem. Pan rozumie to, co dla innych jest nieraz zupełnie niezrozumiałe. Może więc pan dowie się, co rzeczywiście zaszło pomiędzy Janką i panem Zdzisławem... Oni ciergią tylko wskutek jakiegoś nieporozumienia. Janka prawdziwie kocha pana Donieckiego i nie sprzeniewierzyłaby się jemu pod żadnym względem. Znam ją na tyle... Pan Zdzisław też jest młodzieńcem porządnym. Nie wątpię w to wcale. I on darzy moją kuzynkę szczerym, prawdziwym i głębokiem uczuciem. Inaczej nie byłby teraz tak zmartwiony... Żal mi ich serdecznie, temwięcej, że nie wiem, jak im dopomóc. Jedynie pan może wyjaśnić nieporozumienie. Czy zechce pan to uczynić, panie Kazimierzu? — zapytała, poraz pierwszy nazywając go po imieniu.

— Oczywiście — odparł, wpatrując się z lubością w słodkie źrenice dziewczyny. — Mógłżebym odmówić takiej prośbie?... Pani może mną rozporządzać w każdej sprawie, panno Iruśko...

— Pan jest bardzo uprzejmy. Janka będzie panu ogromnie wdzięczna...

Chciał powiedzieć, że dla niego byłoby o wiele przyjemniej coś dla niej samej uczynić, ale się wstrzymał. Natomiast rzekł:

— Panna Krańska nie potrzebuje wcale się martwić. Jeśli spotkała ją przykrość ze strony Zdzisława, to tylko wskutek — jak pani już powiedziała — nieporozumienia, a raczej intrygi osoby trzeciej...

— Co pan mówi? — spytała zaniepokojona.

— Objaśnię panią później. Teraz chciałbym zadać pani, Iruśko, małe pytanie: Czy panna Krańska nie ma przypadkiem jakiego wroga?... Może w osobie młodego mężczyzny, który może mieć do niej żal jakiś?...

— Janka wroga?... — zdziwiła się Irena. — Chyba nie. Zresztą nie wiem.

— Może to być jaki odpalony konkurent... niemiły adorator...?

Irena zmarszczyła brewki w głębokiem zastanowieniu. Pytania młodego dziennikarza dziwią ją, a więcej jeszcze przerażają. Janka ma mieć wroga... kogo? Odpalony adorator... Czy był taki?

Przypomniały się jej nagle zwierzenia Janki w altanie. Wszakże Janka powiedziała wówczas, że swego czasu miała w Warszawie „przygodę" z jakimś o wiele od niej starszym młodzieńcem, który narzucał się jej ze swoją sympatią. Janka odrzuciła jego oświadczyny, za co groził jej, że... póki on żyć będzie, nie dopuści, aby poślubiła kogo innego! Czyżby więc...

— Owszem — odparła. — Był jeden taki...

— Mianowicie?

— Wiem tylko od Janki, że oświadczył się jej pewien młodzieniec i, że odrzuciła jego oświadczyny. Ale to było już dawno, zdaje się, że trzy lata temu w Warszawie. Pan chyba nie sądzi, że ten byłby...

W oczach Kazimierza zamigotał znany, charakterystyczny płomień.

— Jak się nazywał? — spytał prędko.

— Alfons Rozwicz — o ile pamiętam.

— Pani go nigdy nie widziała? Nie... Jaka szkoda! A może pani wie, jak wyglądał ów Rozwicz?...

— Niestety, nie wiem. Chyba zapytam o to moją kuzynkę.

Dziennikarz nie ukrywał swej radości. Nareszcie dowiedział się coś, co zdawało potwierdzić jego podejrzenia. Nie wątpił już, że jest na właściwym tropie tajemniczego osobnika — wroga panny Krańskiej. I, jeśli jego podejrzenia się sprawdzą, sprawi wszystkim mieszkańcom willi „Aurory" wielką niespodziankę... A największą chyba samej pannie Krańskiej...

Irena przeciwnie była smutna i mocno zaniepokojona. Wprawdzie Janka wspominała jej raz o jakichś anonimach, ale ona sądziła, że to niemiły żart kogoś, komu zależało na tym, aby tak przystojny i niebiedny kawaler, jak Zdzisław Doniecki, nie przestał być przedmiotem wzdychań może zbyt sentymentalnej osóbki. Tymczasem dowiaduje się, że tak nie jest, a przeciwnie, że Janka ma niebezpiecznego wroga w osobie, nie kobiety, lecz młodego mężczyzny... Zwróciła ku dziennikarzowi bladą twarzyczkę.

— Panie Kazimierzu — rzekła wzruszonym głosem. — A gdyby Jance groziło jakie niebezpieczeństwo?...

Młodzieńca rozrzewniła trochę ta jej serdeczna troska o kuzynkę, a przede wszystkiem zaufanie z jakiem zwracała się do niego o pomoc. Wziął dziewczynę za ręce i delikatnie przyciągnął ją do siebie.

— Pani posiada dobre, współczujące serduszko — rzekł miękkim głosem. — Ale pani obawy są przedwczesne, panno Iruśko. Dowodzą jednak, jak serdecznie pani jest przywiązana do osób, które pani kocha...

Irena lekko się zarumieniła. Podniosła powieki i zobaczyła czarne oczy zupełnie blisko swej twarzy; płomienne te oczy zatonęły w jej oczach... Nagle, jakby pchana jakąś tajemniczą siłą, przytuliła się z ufnością do młodzieńca...

Rozdział VIII.

NIE MA RÓŻY BEZ KOLCÓW

Słońce tonęło za ścianą zieleni, a tylko ostatni pęd gasnących promieni prześlizgiwał się przez wierzchołki drzew i jakby na jakie tęskne pożegnanie zajrzał do pokoiku panny Krańskiej.

Janka spoczywała na przysuniętej do okna leżance. Była sama. Smuga światła oblała jej główkę, drażniąc oczy, ale młoda dziewczyna, zapatrzona w przestrzeń, nie zwracała na to uwagi. Była bardzo zmieniona. Jasne pukle jej włosów w nieładzie opadały na ramiona, na bladej twarzyczce znać było ślady łez. Z całej postaci pięknego dziewczęcia biło przygnębienie i jakby tajona rozpacz.

Irena nie przesadzała wcale, mówiąc dziennikarzowi, że kuzynka jej martwi się postępowaniem narzeczonego. Janka rzeczywiście czuła się teraz bardzo nieszczęśliwą i cierpiała skrycie, temwięcej, że niezasłużenie. Bo czy ona zawiniła?... Pozwoliła się pocałować, sądząc, że to ON jest przy niej. Wszakże widziała, jak szedł ku niej. A ona przecież kochała go tak gorąco... Tymczasem był to ktoś inny. Kto?... Nie wie doprawdy. Jakiś nieznany impertynent... Pragnęła wytłumaczyć wszystko Zdzisławowi, ale nie chciał jej wysłuchać. Co on wogóle sobie myślał?... Czy nie widział jej oburzenia i gniewu z jakim odepchnęła od siebie młodego człowieka, skoro tylko spostrzegła, że to nie jej narzeczony... Widocznie Zdzisław mało jej ufał. I jak ją potraktował! Rzucił jej pogardliwe spojrzenie i manifestacyjnie odwrócił się od niej. Ach, Boże, ona nie spodziewała się takiej obrazy ze strony ukochanego... Czy Zdzisław wie, jaką krzywdę wyrządził jej swym postępowaniem? Poprostu posądza ją o płochość... zarzucił jej... zdradę! Rzucił jej niemą, ale tym dotkliwszą obelgę.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

HUMOR

Zagalopował się.

Adwokat (broniąc oskarżonego o zamordowanie rodziców): — Proszę więc dla oskarżonego o okoliczności łagodzące, wszak to sierota bez ojca i matki.

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 3 stycznia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa 10,30 Koncert rozrywkowy 12.03 Poranek muzyczny 14.30 Muzyka o słońcu (płyty) 14.50 Kolędy i pieśni białoruskie na Boże Narodzenie 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Fragment słuchowiskowy 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 17.55 „Szczęśliwego Nowego Roku dla całego świata" — Transmisja z Berlina 19.20 Stylizowane tańce wszystkich czasów (płyty) 21.00 Na wesołej lwowskiej fali 21.30 Utwory fortepianowe odegra Janina Familier-Hepner 22.00 Koncert orkiestry wileńskiej 23.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 4 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Uroczyste marsze — koncert orkiestry wojskowej 12.50 Dziecko a szkoła — pogadanka 15.15 Jazzowe rytmy w piosence — koncert rozrywkowy 15.55 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 16.30 Zespół Pawła Rynasa 17.15 Koncert solistów 17.50 Podbiegunowe zwierzątko w tatrzańskim stawie — odczyt 18.50 Sołtys w gromadzie — pogadanka 19.30 Koncert Małej Orkiestry Polskiego Radia 21.00 Z epoki nagiej duszy — wieczór literacki 21.30 Koncert chóru Śpiewackiego Związku Chłopców z Turyngii 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 5 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Transkrypcje instrumentalne aryj i pieśni (płyty) 15.15 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P. R. 16.30 Koncert zesp. Haliny Adamskiej-Grossmanowej 17.10 Powieść mówiona 17.25 Robert Schumann: Sonata d-moll 17.50 „Gdzie moje okulary" monolog Józefa Czyścieckiego 19.00 Dyskutujmy: „O granice odbronowywania" 19.20 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 20.00 Żartów moc wielka, za pół rubelka — aud. muz. 21.00 „Dumki i tańce polskie" koncert ork. symf. 22.30 Żeglarz na morzu ciemności — szkic literacki 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 6 stycznia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa 12.03 Poranek muzyczny 14.30 Pawiuś wędruje — słuchowisko wiejskie 15.00 „1000 taktów muzyki" — gra zespół St. Rachonia 15.45 „Szopka" Or-Ota, słuchowisko dla dzieci 16.30 Płyta za płytą — muzyka taneczna 17.30 Okolędowanie — audycja z Krakowa 18.00 Godzina muzyki francuskiej 19.35 Kolędnicy pod oknem — regionalna aud. Ukraińska 20.05 Chór Dana i orkiestra Poulangera — płyty 21.00 „Opowieść o Chopinie" — 7-my wieczór „Humor Chopina" 21.45 Kolędy w wyk. Poznańskiego Chóru Katedralnego 22.15 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 7 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert południowy 15.15 Muzyka lekka 16.35 Koncert Małej Orkiestry Polskiego Radia 17.00 „Krzyzsowy bridż" — odczyt 17.15 Aleksander Borodin: Kwartet a-dur 17.50 „Mickiewicz i Słowiańszczyzna w świetle najnowszych badań" — odczyt 19.00 Premiera słuch. p. t. „Zaczyna się dzień" 19.35 Muzyka taneczna 21.00 Sylwetki kompozytorów polskich — Piotr Rydel 21.35 Koncert orkiestry T. Seredyńskiego 23.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 8 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert wojskowej orkiestry dętej (z Wilna) 15.15 Koncert rozrywkowy 16.30 Łódzka orkiestra salonowa (z Łodzi) 17.00 Bramy morza Śródziemnego — felieton 19.00 Miłość — fragment noweli 19.20 Z pieśnią po kraju 19.45 Kwadrans fortepianowej muzyki jazzowej 20.00 4-ta pogadanka z cyklu „O instrumentach ork. symf. 20.15 „Opowieści Hoffmanna" — opera 23.00 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 9 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert Małej Ork. Polskiego Radia 15.15 Koncert rozrywkowy 16.15 „Obrazki karnawałowe z dawnych czasów" 17.00 Koncert solistów 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 19.30 Muzyka taneczna w wyk. Małej Ork. P. R. 21.00 Koncert 22.00 Telefon usprawnia życie wesoło audycja 23.00 Muzyka taneczna.

Pakunek

Do tramwaju wsiada paniusia z wielkim tobołem. Konduktor mówi:

— Za ten pakunek musi pani kupić bilet!

— Koniecznie?

— Koniecznie. Taki przepis.

— Dobrze. Jak mus, to mus! — rezygnuje paniusia, po czym odwija tobół, mówiąc doń:

— Wychodź synku i siadaj sobie. I tak mu szę kupić bilet!

Na reducie

On: Co pani sądzi o moim tańcu?

Ona: Pan musi być doskonałym fotbalistą.

Pod fałszywym adresem

Lokator: Dach jest tak dziurawy, że deszcz kapie mi na nos. Jak długo to jeszcze potrwa?

Gospodarz: Też pretensja! Czy ja jestem PIM'em, żebym panu pogodę przepowiadał?!

Omaćkować

— Wysłałeś list na pocztę, ofrankowałeś?

— Omaćkowałem, paniczu, bo Franek w pole wyjechał.

W księgarni

— Dziewczynka: Proszę o „Trzech Muszkieterów".

— Księgarz: Moja panienko... Ty jeszcze jesteś za młoda na „Trzech Muszkieterów".

— Dziewczynka: (zawstydzona):

— To proszę choć o jednego...

Warunkowo

— Będę córkę pańską na rękach nosił, jednakże....

— Jednakże co?

— Jednakże w tym celu musi mnie pan postawić na nogi.

Kuracja

— Lekarz do pacjenta — alkoholika:

— Jeżeli pan chce być zdrów, musi pan przez rok pić tylko mleko.

— O, ja już przechodziłem taką kurację, panie doktorze.

— Kiedy?

— Zaraz po urodzeniu.

Ta dobrze zrozumiała

Młodej pary, mającej wstąpić w związek małżeński, pyta się kapłan:

Macie więc wolę wstąpić w związek małżeński, ale czy przygotowaliście się należycie do tak ważnego kroku?

— Zupełnie jegomościeńku — odpowiada narzeczona — zabiliśmy świnię, tuzin kaczek, sześć gęsi, a placków i bab napiekliśmy tyle, że aż się pod niemi stół ugina. Przecie to wystarczy?...

Ogonek

— Zaręczyłem się z panną Nitą.

— Tak? To szczególne, bo i ja jestem z nią zaręczony.

— Aha, więc jesteśmy w ogonku.

Utylitaryzm

Pewien malarz udaje się na letnisko na wieś. Włościanka, u której zamieszkał, zwraca się z prośbą do niego.

— Ach panie, w zeszłym roku namalował mi pan taki śliczny obraz i tyle farby było na nim! Czy nie mógłby mi pan w tym roku też znów coś podobnego zrobić?

— Owszem, jeżeli wam się ten obraz tak bardzo podobał?

— Tego nie powiem, ale muchy tak ładnie osiadają na tej farbie.

Litościwa instytucja

Bezrobotny Symforiusz Chrupczałka złożył do magistratu podanie, prosząc o jakiekolwiek zajęcie.

W dwa tygodnie później przybył sekwestrator i w imieniu magistratu zrobił mu zajęcie połowy mebli...

Solidna

— Proszę pana — mówi młoda panienka do właściciela wypożyczalni — muszę panu oddać tę książkę: mamusia mówi, że jest ona stanowczo dla mnie zanadto pikantna...

— A może pani mamusia się myli — próbuje tłumaczyć właściciel.

— O nie, proszę pana, mamusia ma zupełną rację — ja wiem, przeczytałam ją do końca.

Nasze dzieci

Dziadzio odwiedza swą wnuczusię Ewunię. Ewunia prosi dziadzia, by jej opowiedział jakąś bajeczkę.

— Tylko nie o Czerwonym Kapturku — dodaje wnuczusia — bo to widziałam już w teatrze!

— No, to ci opowiem o Księciu Bocianie!

— O Księciu Bocianie? — krzywi się Ewunia. — Dziadziu, przecież ja już jestem uświadomiona!

To nie sprawia różnicy

— Utrzymują, że dlatego żenisz się z Paulą, że oddziedziczyła majątek po swojej ciotce!

— Wierutne kłamstwo! Ożeniłbym się z nią tak samo, gdyby po kim innym dziedziczyła!

Jaki pan taki kram

— Wszystkie zdjęcia z wakacyj udały mi się znakomicie z wyjątkiem tych z moją teściową!

— A dlaczego, czy ta dama nie stała dość spokojnie?

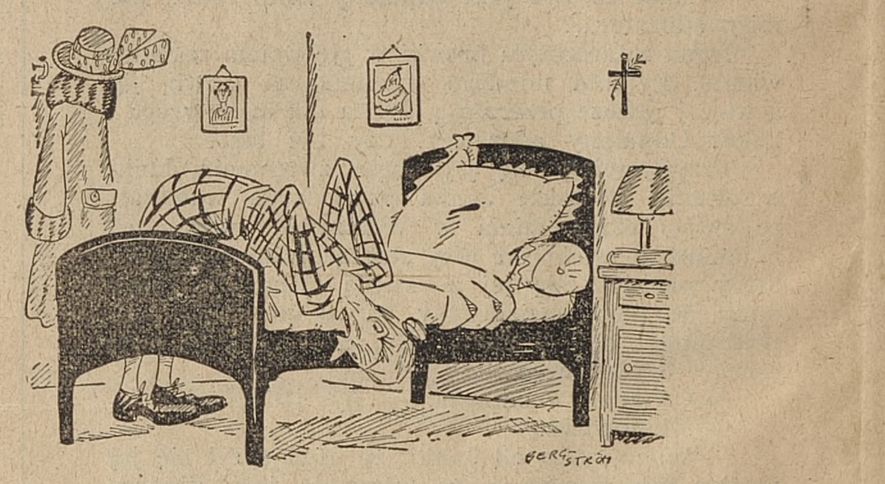
— Owszem, ale aparat się trząsł!

Gość w domu

— No, gdy nas pan następnym razem odwiedzi, przyjmiemy pana już we własnym, ładnym domku!

— Ach prawda, słyszałem, że miał pan zamiar budować. Czy już gotowy?

— Broń Boże! Rozpoczynam budowę w lecie!



— Ratunku! Widzę, nogi pod moim łóżkiem!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJĄ Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32.

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.